



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA

Święty Marcin przyjechał na swoim tradycyjnym siwoszu; wedle zwyczaju wyprawiono w tym czasie hekatombę i rzeź gąsiątek rozlała potoki niewinnej krwi kuzynek łabędzia, przyrodnich siostr kaczyc, a jako bywa w ważnych momentach Warszawy, urodziła się jednocześnie kwestya bieżąca:

— Sanną, czy na kołach?

Jedni utrzymują, że sanitarny wzgląd miasta wymaga, aby śnieg i grudy usuwać natychmiast z bruku, który poprzednich lat zamieniał się w miniaturową Szwajcaryą z dodatkiem nawet jezior podczas odwilży; drudzy oświadczają się za sanną, przynajmniej na tych ulicach, które prowadzą ku rogatkom, aby pozostawić dostawcom ze wsi możność dostarczania produktów do główniejszych centrów targowych miasta. Śmiem się przyznać, że trzymam z tymi ostatnimi, chociaż Warszawie dobrego zdrowia życzę, i nie chciałbym jej narażać wyziewami błota, gnijącego podczas zimy i wiosny przez długie tygodnie na ulicach; ale praktyczne względy także coś znaczą. Usunąć zupełnie śnieg z bruku miejskiego, to tyle, co zamknąć dostęp pocziwym chłopkom i gospodarzom wiejskim, przywożącym na saniach co rano swoje produkty, do Warszawy. Bez śniegu nie dostaną się ani za Żelazną Bramę, ani na Plac Grzybowski, ani nigdzie; wtedy przepuknie będą zmuszeni swoich dostawców oczekiwać przy rogatkach i własnymi lub najętymi wehikułami sprowadzać mleko, warzywa, drób i t. p. artykuły codziennych potrzeb na targi. Zape-

wne, że tak uczynią, aby handel szedł, ale nie omieszkają sobie zarazem fatygi i kosztów transportu doliczyć do zarobku swojego; podniosą ceny bez względu na to, czy ich do tego uprawni śnieg, czy nie, bo dowiedziona rzecz, że u nas ceny podnoszą się szybko przy lada okazji, ale spadają bardzo powoli i bardzo rzadko. Mam tedy złe przecucia, co do wyników bezzwzględnej opozycyi przeciw sannie.

A że drożyzny obawiam się zarówno, jak cholery, nawet powiem, że tej pierwszej plagi osobicie bardziej, niżeli tej drugiej, zatem nie radbym przysparzać jej środków rozwoju.

Z nastaniem zimy stara bieda zaczyna i tak z kątów znowu wylazić; znana fuga jęków, skarg, próśb i użalań na ciężkie czasy, zawsze z jednych i tychsamych motywów złożona, rozbrzmiewa już teraz, kiedy śnieg przyprószył ziemię. Przytulki noclegowe przepełnione biedakami; gdzie spojrzeć, jakaś drżąca, wychudzona ręka wyciąga się po litość do przechodniów; filantropijne instytucje potrząsają także próżnemi skarbonami, wszędzie należałoby coś rzucić, a tu, niestety, cuda Chrystusowe na puszczy z rozmnożeniem ryb i chleba dla głodnych rzesz nie powtórzyły się więcej przez wieków omal dziewiętnaście.

Było coś podobnego u Piasta kołodzieja, ale do jego potomków aniołowie nie przychodzą już wcale w gości, a jeżeli przyszli kiedy, to mieli miny bardzo podejrzane i zwykle po nich ubywało w spiżarni i w piwnicy, zamiast przybyć w dzbanach i dziezkach.

Bieda płacziwym głosem znowu zawodzi; dochody się zmniejszają i wielkim i maluczkim, i Nababom i Łazarzom; kto miał dużo, ma coraz mniej, a kto miał mało, ten przynajmniej nie ma nic więcej do stracenia, choć i do zyskania nic nie ma.

Do szeregu głodnych, nad których nakarmieniem przemyślwiąją litościwe serca, przybywają

w tym roku dzieci szkolne. W Austrii, a zwłaszcza w Wiedniu zwrócono uwagę, że małe niebożęta przychodzą do szkoły bardzo często bez śniadania i głodzą się do późnej godziny bez pożywienia z bardzo prostej przyczyny: ubóstwa rodziców. Pocziwe Wiedenki ulitowały się losu malców szkolnych i postanowiły karmić ich mlekiem, bułką, albo gorącą herbatą podczas przerw między szkolnemi godzinami.

Warszawianki, które mają najpocziwsze serca na kuli ziemskiej, gdy chodzi o niedorosłych bliźnich, albo bardzo sędziwych, zamierzają konkurrować z Wiedenkami pod względem humanitarnych uczuć. Tworzy się i u nas grono filantropów, pragnących częstować rannym posiłkiem biednych uczniaków.

Te wszystkie kółka projektowane mają wszelako jedną fatalność, że najczęściej nie mogą znaleźć osi na której obracaćby się mogły. Dobra wola bywa kołodziejem, ale zły los nie chce być stelmachem i dlatego tak trudno u nas wsadzić na gotowy wózek podejmowane sprawy i ruszyć z niemi z miejsca zbiorowemi siłami.

Niebezpieczna to rzecz wszelako sądzić tak o dziełach sztuki z samego słyszenia; przekonałem się niedawno o tem, zwabiony reklamami, jakich czyjaś przyjazna ręka nie szczędziła najnowszemu obrazowi p. Żmurki, wystawionemu w salonie Krywulta na wzór „Rozkosznych marzeń“ Suchorowskiego. Obraz przedstawia dwie odaliski „pod wpływem haszyszu,“ uśpione także w rozkosznych marzeniach na ottomanie, w negliżach bardzo niedbałych, w pozach naturalnych, ale niezbyt estetycznych; jedna z nich jest rudą, druga brunetką, i to cała między niemi różnica. Z wyrazu twarzy, które najczęściej na obrazach pana Żmurki mają bezmyślność woskowych figur, albo apatyczność znużonych modelek, nie byłbym poznał, że usnęły pod wpływem narkotyku; mogłyby tak samo spać po mle-

ku, albo po wodzie sodowej. Gdyby p. Żmurko miał tyle cierpliwości, ile talentu, a tyle techniki, ile kolorytu, malowałby dzieła trwałej wartości, nie ograniczałby się na szkicach, wobec których widz powiada sobie: „Z tego możnaby ładny obraz zrobić.“ Dobrze to było w początkach kariery artystycznej niepospolicie uzdolnionego ucznia monachijskiej szkoły, ale obecnie po latach razi jako organiczny defekt talentu, który się śpieszy i zamiast dojrzałych tworzy niedo- noszne, poronione dzieła; a szkoda, wielka szkoda, bo p. Żmurko ma talent, ma indywidualność wybitną, mógłby pójść wysoko, gdyby się tak szybko nie męczył i nie nudził własnymi obrazami.

W „Nanie“ i „Rozkosznych marzeniach“ p. Suchorowskiego, którego efektów optycznych próbuje używać twórca „Haszyszu“, uderzała świetna *sui generis* strona techniczna, zadziwiała wyborna plastyka wydobyta pędzlem i światłem sztucznym; p. Żmurko zdaje się lekceważyć tę stronę swoich obrazów, pokazuje tylko w niektórych miejscach, że gdyby chciał, to potrafiłby się zdobyć na staranniejsze wykończenie szczegółów i wydobyć większej prawdy i natury zpod swego pędzla, ale p. Żmurko się śpieszy gwałtownie, i dlatego za dużo czasu strawiwszy na malowaniu poduszek ottomany, odbija to sobie potem na „chłaśnięciu“ (techniczne wyrażenie) kotary, która nie wiezieć z czego jest, z wosku, z mydła, z adamaszku, czy z żółtego płótna; dlatego wymodelowawszy z natury nóżkę prześlizguje się po biuście, a wykończywszy plastykę zmiętą materyą negliżu, nie dba o inne akcesorya, podmalowawszy je jedynie z dekoracyjnym efektem.

W ten sposób powstają w jego pracowni obrazy, jakie inni artyści zostawiają zwykle w pośmiertnej dopiero spuściznie, niewykończone, fragmentaryczne, przy których krytyka składa pióro, a publiczność powtarza szeptem na wystawie:

— Szkoda, że ten człowiek umarł!...

Pan Żmurko trwając w tej manierze, może się za życia narazić na takie ubolewania.

W sztuce nie można niczego lekceważyć; trzeba jaknajwięcej dawać z siebie talentu, pracy, natchnienia, wytrwałości, jeżeli się chce zostać prawdziwym mistrzem.

Chciałbym bardzo dla pożytku naszej sztuki i przez życzliwość dla talentu p. Żmurki, aby tak malował, jak np. panna Barbi śpiewa. Kto nie słyszał tej śpiewaczki na jednym z koncertów w zeszłym tygodniu, ten sobie odmówił rozko- szy niepowetowanej tak łatwo. Panna Barbi jest specjalistką; śpiewa tylko pieśni i popularyzuje archaizmy muzyczne przed nowoczesną publicznością; repertoar jej składa się głównie z utworów starych, zapomnianych przed stu laty kompozytorów, których ona wskrzesza swoim prześliznym głosem słowiczym.

Jest w jej śpiewie, w jej metodzie, w interpretacji coś, co przypomina stare hafty, koronki i miniatury średniowieczne, tak delikatne, tak wytworne i tak mozolnie wypracowane, a sprawiające wrażenie lekkich robótek od ręki.

Publiczność nie chciała z sali wychodzić po każdym koncercie, nie ruszała się z miejsc, przy- kuta tym śpiewem pełnym uczucia, finezyi, ar- tyzmu *sui generis*. W małej piosence umie ten wędrowny słowik włoski zmieścić poemat, z kil- ku taktów wydobywa dramatyczny efekt, prze- mujący do głębi słuchacza.

Pytają się wszyscy: dlaczego z takim głosem i taką szkołą nie poszła na scenę i nie śpiewa w operze? Ale po co ma iść na scenę i zbierać laury primadonny, kiedy jej na estradzie koncer- towej i wygodniej i lepiej i jakoś właściwiej z tym talentem i z tą wyłącznością w śpiewie?

Scena zużywa; potrzeba wyjątkowych organi- zacyi, jak Zółkowskiego, ażeby stać na niej na wzór kolosu, przeciw któremu ani czas, ani bur- ze, ani nic nie poradziło. Zeszłej niedzieli pan Aloizy obchodził jubileusz 55-ciu lat pracy na scenie warszawskiej.

Pięćdziesiąt pięć lat!... sześciu ludzi potrzeba, aby na palcach przerachować ten okres niepraw-

dopodobny w życiu artystów, zwłaszcza takich, którzy dźwigali na swoich barkach honor i sławę jakiej sceny. I swojego ulubieńca w dniu jubi- leuszu publiczność warszawska zobaczyła jeszcze w nowej roli, jakby tą rolą chciał udowodnić, że nie czuje się znudzonym do pracy, że jest rzeźkim i chętnym na równi z młodzikami, pomimo ósmego krzyżyka na niezgarbionych dotąd plecach.

Nie mogłem dostać biletu na to uroczyste wi- dowisko, pomimo odwoływania się do praw re- cenzentów, którym wszędzie indziej zawarowują miejsca w teatrze; postanowiłem powetować to sobie w dniu sześćdziesięciolecia genialnego ko- mika, które oby obchodził w zdrowiu i dobrym humorzel...

Inna rocznica, nie jubileusz niestety, przypada w tym tygodniu, dnia 25-go b. m., rocznica histo- rycznie ważna, która należy do wspomnień prze- szłości, a którą w piękny sposób przypomniał nam *Tygodnik ilustrowany*.

Lat dwadzieścia i pięć minęło właśnie od otwar- cia b. Szkoły Głównej w Warszawie, przeisto- czonej na dzisiejszy Uniwersytet.

Ta, dobrej pamięci, instytucja naukowa była faktem doniosłego znaczenia dla całego kraju i oświaty jego; siedm lat istnienia Szkoły zapisa- ło się wybitnymi głoskami w rubryce pożytków społecznych, całe pokolenie zdolnej, pracowitej i wykształconej młodzieży wstało z tych ławek szkolnych, na których słuchało wyższych nauk i sposobilo się do obywatelskiego życia i prak- tycznych zawodów w przyszłości.

Długa lista wychowanców byłej Szkoły głów- nej mieści wiele nazwisk znanych dziś powszechnie w całym kraju, powtarzanych z szacunkiem i uznaniem, otoczonych nawet aureolą sławy. W literaturze i prasie odbił się najwyraźniej korzystny wpływ tej uczelni, która stworzyła szersze drogi oświaty i przygotowała umysły poważniejsze do nabytku nowej wiedzy, nowych pojęć, nowych rezultatów badań w dziedzinie nauki, przyczyniła się do wzrostu i rozwoju in- telligencji w kraju.

Tygodnik podał portrety czterech wychowań- ców Szkoły głównej, którzy z owego pokolenia zajęli w literaturze naszej współczesnej miejsca honorowe, a mianowicie: Sienkiewicza, Prusa, Świętochowskiego i Chmielowskiego.

Z projektowanej historii tej instytucji, do- tychczas tylko wydział prawa i administracji znalazł swojego monografa w znanym historyku, literacie i prawniku p. A. Krausharze; podobno monografia wydziału filologicznego jest już przy- gotowaną do druku, jak się dowiaduję z artykułu p. Chmielowskiego w *Kur. Codziennym*. Inne wy- działy poszczególnie upamiętnić może czyjeś inne pióro, a upamiętnić powinno na świadectwo prze- szłości, na wzór dla przyszłego pokolenia, na utrwalenie wspomnień, do których coraz częściej i coraz tęskniej wracać będzie myśl, im bardziej mgła zasunie ten pogodny obraz „siedmiu ży- nych lat nauki“...

Quis.

TRZYNASTU

Treize à table.

(Przekład z francuzkiego).

O Nieba! trzynastu do uczy nas siadło —

A tu rozsypała się sól!...

Fatalne to wróżby!... Aż czoło mi zbladło,

Bo ziarno złych przeczuć w pierś moją zapadło,

A w sercu — i trwoga i ból!...

Śmierć do nas zawita!... Śmierć, moi panowie!

Czy też nie przejmuję was strach?...

Śmierć z kosą, z ognistą równianką na głowie,

Z piorunną żrenicą... Niech każdy z was powie:

Nie takąż oglądał ją w snach?...

Nie truchlał-że każdy, gdy mary straszliwej

Wzrok czarny w pierś jego się wwierci?...

Lecz.. były to widma w chorobie.. Prawdziwej,
Panowie, nie bójmy się śmierci!..

* * *

Bo patrzcie: przybywa na naszą biesiadę

Jakgdyby wesoly jej gość!...

Oblicze jej jasne, łagodne, choć blade,

Uśmiechem miłości promienić się rade,

Nie grozę rozsiewać i złość!...

Na czole ma wieniec z barw tęczy utkany,

Nad czołem — srebrzysty łśni blask!...

Przynosi nam w darze skruszone kajdany

I kwiat liliowy, litości łzą złany —

Zadatek wieczystych swych łask!..

Dziecinę uspioną do łona przyciska —

A czułość w jej wzroku i słowie!..

Nie psujmy więc uczy, choć śmierć może blizka!..

Nie bójmy się śmierci, panowie!..

* * *

„Dla czegoż mój widok“ — powiada mi ona —

„Ma wzbudzać obawę lub wstręt?...

Jam niebios jest córą... ma siostra rodzona

Nadzieja — toż wasza ucieczka, obrona!...

A ja — wszak wybawiam was z peł!...

Niewolnik narzekać na tego czyż może,

Kto wolność szeroką mu dał,

Kto dnia mu pokazał promiennego zorzę,

Kto odkrył mu światów niezmierne przestworze

I z czoła myśl czarną mu zwiał!...

Upadły aniele! Jać skrzydła przyniosę

Z piór srebrnych, miast ziemskiej tej sierci!...

Ożywczą wyleję na czoło twe rosę!..“

Panowie, — nie bójmy się śmierci!..

* * *

„Powrócę“ — śmierć kończy — „powrócę do ciebie!..

I wleci naonczas twój duch,

Co nurza się dotąd w tym ciemnym Erebie,

Do wszystkich tych światów, co lśnią tam, na Niebie,

W miryadach, jak śnieżny ów puch!...

I zwiedzisz naonczas te globy ogniste

I szlaki płomiennych tych mas,

Ktoremi Bóg znaczy swe myśli wieczyste,

Swe wielkie zamiary, dziś dla was tak mgliste,

Jak wieczność, jak przestrzeń, jak czas!...

Powrócę... Lecz pokąd was jarzmo przygniata, —

Ulżyjcie ciężaru swej głowie:

Na skrzydłach wesela niech myśl wasza wzlata!..“

Nie bójmyż się śmierci, panowie!..

* * *

Zjawisko już znika... wciąż, wciąż się oddala!...

Rozpływa się wreszcie we mgle!...

Panowie! I kogoż od śmierci ocala,

Że człek się nad końcem swym smutnym użala

I tysiąc złorzeczeń mu śle!...

Nie lepiej-że mężką w grób patrzeć żrenicą,

Przed trumną nie cofać się w tył!...

Łódź życia niech fale na barki pochwyca!...

My — z piosnką na ustach, z otwartą przyłbicą,

Do portu w niej pędźmy cō sił!...

Wszak smutkiem — podróżny w swej drodze ku

[Miastu

Nie skróci ni mili, ni ćwierci!...

Weseli więc bądźmy przy ucziecie w trzynastul!...

Panowie!... nie bójmy się śmierci!..

L. Kozłowski.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

V. Aut, aut....

Kiedy poraz pierwszy na Promenadzie w Nizy państwo Fiszbbaumowie z Ludwiką spotkali panią Zofią, Romuald nie był obecny przy ich powitaniu; wiedział on jeszcze przed wyjazdem o pobycie Odonickej nad morzem i to skłoniło go ostatecznie do przyjęcia projektu teścia, który na kilka miesięcy odrywał go od wszystkiego, co jego obecności w Warszawie wymagało.

Czuł jakąś niepoohamowaną żądzę zobaczenia Zofii, pomówienia z nią; tęsknił teraz bardziej, niż kiedykolwiek, do jej widoku; jak człowiek chory i znużony wśród północnej szarugi, pod słotnym, pochmurnym niebem pieści się i rozkoszuje myślą odetchnięcia na południu powietrzem, świeżym, jasnym, wonią i światłem przesiąkniętem, tak upajał się Romuald nadzieją spotkania kobiety, której samo wspomnienie wstrząsało całą jego duszą.

Zdawało mu się, że potrzebuje jej tak, jak roślina słońca, bez którego marniała w jakimś dusznym, ciasnym, ciemnym zamknięciu; przekonał się, że ta długa praca i walka z sobą samym nie na wiele się przydała, że serce ogłuszone, przycisnęło się tylko, ale swoich praw nie wyrzekło; było posłuszne zimnej logice życia, jednak przekonać się nią nie dało.

Marzył o tej chwili, gdy po tak długiej rozłące po raz pierwszy zobaczy Zofią, wyciągnie ku niej rękę i głos jej usłyszy, a jednak gdy spostrzegł ją w Nizy niespodzianie, idącą długą aleją w towarzystwie jego żony, odwrócił oczy, nie śmiać popatrzyć wprost przed siebie, miał wielką ochotę umknąć w bok i skryć się za krzakiem myrtów i aloesów, aby nie być widzianym w tej chwili. Musiał zebrać całą siłę woli i przytomność umysłu; z jakąś chłodną, sztywną, niezręczną uprzejmością powitał panią Zofią, czując na sobie wzrok Fiszbbaumów i Ludwika.

Zimną, jakby zdrętwiałą rękę podał jej na powitanie, nie wiedział, jak się odezwać do niej, o czym mówić; to pierwsze słowo nie chciało mu przejść przez usta, trzymał się zdala; nie wtrącał się do rozmowy żony i teściowej, które ją zasypywały pytaniami.

Pani Zofia, jakgdyby odgadywała stan jego duszy i rozumiała to oneśmielenie, starała się odciągnąć całą uwagę Fiszbbaumów i Ludwika; więcej od Romualda miała panowania nad sobą i z większą swobodą potrafiła pokryć wrażenie swoje. Nie chciała jednak widocznie nadużywać swoich sił i przedłużać sytuacji dla obojgu wyczerpującej; pod pozorem niepokoju o Dziunię, która z Angielką od rana wyszła na przechadzkę nad morzem, pożegnała się wcześniej.

— Będziemy się przecież codziennie widywali? — pytała ją przy rozstaniu Ludwika — mieszkamy tak blisko, stołujemy się u „Frères provençaux”, dzisiaj idziemy na koncert. Nie wybierze się pani z nami?...

— Nie wiem, zmęczoną się czuję.

— W każdym razie, do widzenia.

— Do widzenia, drodzy państwo, — do widzenia...

Przyśpieszyła kroku i odeszła ku swojej willi z terrasą na morze, owiniętej winogrodem i błyszczącej w słońcu na zielonym tle drzew, jak herbaciana róża na mchu. Chciała być samą jaknajprędzej.

Więc znowu los sprowadził ich razem, znowu na dawne próby i doświadczenia ją wystawiał; chciała uciec od niego, wyrzekła się go nazawsze,

myślała, że tu daleko od kraju, od Warszawy, znajdzie spokoju więcej, zapomnienia, równowagi; potrzeba jej było innych, łagodniejszych wrażeń, trochę światła, ciepła, zdrowia, które w zasnieszonym, stepowej pustelni podczas zimy zepsuło się powoli...

Jak sploszony ptak, który zdołał ze sideł się wyrwać, wpadła do swego mieszkania, zapuściła firanki u okien, wychodzących na teras, południowym słońcem obłany i rzuciła się na kozetkę, nie zdjawszy nawet kapelusza i rękawiczek; głowę ościęła oparła o ścianę, zamknęła oczy, ręce bezwładnie zwiesiła i siedziała tak nieruchomie, przybita, zgnębiona jakimś bezdennym smutkiem.

Nagle cień czyjś przemknął szybko po schodach, na terrasie dały się słyszeć pośpieszne kroki mężczyzny i w otwartych drzwiach saloniku, osłoniętych zapuszczoną kotarą, stanął Romuald.

Zawahał się przez chwilę, czy ma wejść, czy cofnąć się. W jej twarzy odbiło się zdziwienie, że go widzi u siebie, a zarazem nietajona jakaś radość. Drgnęła, chciała przemówić i nie mogła. W milczeniu wyciągnęła ku niemu dłoń na powitanie.

Usiadł naprzeciw niej i ujął nieśmiało podane sobie ręce; czuł woń fiołków, którą wydawały jej rękawiczki i bukiecik świeżych kwiatów u piersi, czuł drżenie jej rąk, których nie miała siły mu odebrać, słyszał niemal przyspieszone tętno jej serca.

Nie mówili do siebie ani słowa, a rozumieli się zupełnie; zdawało się, jakby oboje na tę chwilę niemię spowiedzi czekali oddawna i jakby wszystko, co sobie powiedzieć mieli, streszczało się teraz tylko w tem bolesnym milczeniu.

Patrzała długo w jego twarz bladą i zmienioną, w ciemne, głębokie, smutne oczy pod kruszącą brwią i spytała cicho, łagodnie, budząc go z zadumy melancholijnym swym głosem:

— No, i cóż?...

Zamiast odpowiedzi, ujął jej wysmukłą rękę w obie dłonie i uściśnął ją z lekka; tak dawno nie dotykał tych różowych, delikatnych, pieściwych paluszków, które mu się wydały nieco chudsze teraz i węższe, niż przed rokiem. Poznał na niej tensam pierścienek z brylantem na cienkim sznurku ze złota, tesame niebieskawe żyłki, przegładające jak zpod alabastru, tosamo „porte-bonheur” z gwiazdą i tę małą czarną plamkę na dłoni, którą niegdyś wolno mu było na powitanie całować.

— No, i cóż? — powtórzyła poraz drugi, jakby wyzywała go do spowiedzi ustnej ze wszystkiego, co mu uciskało serce od tak dawna — nie widzieliśmy się od roku... Dużo zmian od tego czasu.

Skinął głową smutnie i dorzucił:

— Na gorsze; — potem obejmując ją spojrzeniem pełnym czułości dodał:

— Pani pobladłaś, zmizerniałaś...

Uśmiechnęła się lekceważąco i z westchnieniem odrzekła:

— Z tem mi podobno do twarzy; ale i pan jesteś zmieniony... czy pan chorowałeś w tych czasach?... nie czujesz się słabym?...

— Miałem dużo do zniesienia w ostatnich kilku tygodniach — odparł, jakby się skarżył przed nią — ludzie dokuczali mi bardzo.

Nachyliła się ku niemu z troskliwym zajęciem.

— Cóż panu było?... czy — w domu? — spytała nieśmiało, lecz znacząco; — żona pańska tak dobrze wygląda, wyładniała jeszcze, odkąd jej nie widziałam.

Lekkie zmarszczki przemknęły mu przez czoło. — Nie... poza domem; ale o tem pomówimy jeszcze... nie teraz...

— Ja o panu wiedziałam prawie wszystko do czasu mego wyjazdu ze wsi — rzekła — prowadziłam kontrolę pańskich działań publicznych. Podróż moja przerwała mi to zajęcie, ale teraz pan musisz osobiście złożyć mi ze wszystkiego relację, dobrze?...

Uściśnął z wdzięcznością rękę jej i szepnął:

— Wspowiadam się pani, to mi ulży... Jaka to dziwna natura bywa w ludziach! — zaczął po chwili — jechałem tutaj z tą nadzieją, że skoro

panią zobaczę, całą duszę otworzę odrazu przed tobą, a gdyśmy się spotkali, uczulem się takim obcym, nieśmiałym, pustym, że mi słów zabrakło na powitanie. Ot i teraz, zamiast mówić, co mi usta zamyka, dławi w gardle, myśli zabiera, ukląkłbym przy pani, głowę złożył w twoje ręce i milczał.

— Bo może my nie mamy sobie nic już do powiedzenia? — przerwała mu smutnie, unikając jego oczu. — Najlepiejby to było — gdyby być mogło — dokończyła przyciszonym głosem, potem siląc się na swobodniejszy ton mowy, rzekła:

— Cóż, nie spytasz pan ani jednym słowem o Dziunię?... ona ma żal do pana i tak, że zapomniałaś o niej zupełnie. Miała to panu napisać już sto razy, ale nie mogłyśmy się obie zdobyć na list do pana; zawsze nam czegoś brakło, zaczęłyśmy od konceptu.

Próbowała się uśmiechnąć, ale się jej to nie udawało; co innego miała na ustach, co innego na myśli.

— Nie, nie! — wybuchnęła nagle, przestając się napróżno hamować — masz pan słusność, my nie potrafimy dziś z sobą rozmawiać spokojnie.

Podniosła się z kozetki i odeszła od niego.

Załamana ręce i odwrócona od Romualda stała z głową pochyloną, ramiona jej drżały od tłumionego łkania...

Poszedł za nią i delikatnie, jak biedne, chore, opuszczone dziecko objął ją z lekka ramieniem. Nie opierała się, nie broniła, położyła mu głowę na ramieniu i płakać zaczęła głośno, rzewnie, boleśnie.

Uścisk jego oprzytomnił ją, wyrwała się z jego ramion, z jakimś rozpaczliwym okrzykiem:

— Boże, co ja robię — co ja robię! — i wzburzona przeleciała swoją własną słabością, chodząc zaczęła szybko po salonie, całą mocą starając się odzyskać straconą równowagę.

— Panie Romualdzie, zaklinam pana — odejdz pan — odejdz teraz! — mówiła, jakby nieprzytomna — odejdz pan, zostaw mnie samą... Jeżeli mnie kochasz jeszcze prawdziwie, usłuchasz mojej prośby... Wrócisz pan, gdy będę spokojniejszą. To nad moje siły!... O, po co ja tu przyjechałam, Boże — Boże, czy to się nigdy nie skończy!... — szepnęła, jakby do siebie ciszej.

Usta jej drżały febrycznie, pierś podnosiła się gwałtownym oddechem, łzy spływały po licach.

— Nie należymy do siebie — mówiła dalej zmienionym głosem — nie mamy nic ze sobą wspólnego. Nie powinniśmy ulegać chwilowej słabości. To do niczego nie prowadzi!... Dziś wszystko przypadło... Pan masz żonę, obowiązki, nie wolno ci zapominać o tem. Nie! nie!... wszystko skończone... zostaw mnie pan mojemu losowi. Odejdz, proszę — odejdz pan! — no, odejdz, kiedy mówię! — zawołała już nie tym miękkim, błagalnym tonem, ale niemal groźnie i rozkazująco, zdobywając się na energią rozpacz i buntu przeciw samej sobie.

Głowa jej płonęła, pulsa w skroniach była gwałtownie, ręką ścisnęła czoło i nie przestawała chodzić po salonie krokiem podrażnionej lwicy w klatce.

— Pani Zofio, pani jesteś tak wzburzona — odezwał się, śledząc każde jej poruszenie.

— To nic, to nic — przerwała mu stanowczo — bądź pan o mnie spokojnym!... ja wrócę do równowagi...

Wyszła z salonu i zamknęła drzwi za sobą, pozostawiając Romualda samego.

Nie śmiał pójść za nią, musiał uszanować jej wolę; rozumiał dobrze jej uczucia, bo sam je podzielał aż nadto, przechodził tesame walki, co ona, szarpał się wewnątrz, kochał i cierpiał podwójnie, wiedząc, że jest kochany. Nie mówiła mu tego, nie wyznała ani razu, ale jej łzy, jej niepokój, jej rozpacz powiedziały wszystko. Kochała go tą miłością najniezwyklejszą — bez nadziei, bez celu, wydziedziczoną z wszelkich praw a nie pozbawioną wszystkich pożądań, wymagającą ciągłych ofiar i poświęceń, a zabierającą siły do ciągłego zaparcia.

Jak szalony wybiegł po tej scenie i skierował swe kroki ku morzu; chciał uniknąć widoku ludzi, szukał samotności, potrzebował zmysły zebrać, wirowało mu w głowie, kotłowało w pier-

siach, doznawał uczucia jakiegoś przykrego bólu; byłby jęczał i tarzał się po wilgotnym piasku na brzegu, na które śpianione fale wyrzucały setki istot szczęśliwszych od niego, bo pozbawionych uczucia i myśli.

Usiadł na jakichś szczątkach rozbitej łodzi, twarz zakrył rękoma, oczy zamknął i myślał; raziło go słońce, odbijające się w stalowym, pokarbowanym zwierciadle morza, raził go ten jednostajny, miarowy ruch fal, szumiących jednakowo jedwabnym szelestem od wieków, raził świst statków parowych, zdążających do przystani.

Doszedł go śmiech głośny, plusk wiosła i śpiew kobiecy. Na łódce płynął młody człowiek w stroju wioslarza z przystołą, uśmiechniętą rozkosznie brunetką, która dzwicznym sopranem śpiewała habanerę z „Carmeny“: *L'amour c'est un enfant de Bohême, qui na jamais, jamais connu de la loi*...

Przypomniał mu się nagle ów wieczór w Brylantówce, gdy taksamo na łodzi wiozł panią Zofię i wpatrywał się w nią, jak w uroczę widział; zprzed oczu znikło mu szerokie morze i spłynęło gdzieś w wązka, szuwarem i wodnemi liliami zarosłą rzeczka wśród skoszonych pól, zniknęły łukowate, szerokie wybrzeża Nizy z łańcuchem przepysznych willi na tle alpejskich gór, a natomiast widział płaskie równiny mazowieckie, garbate drzewa nad wodą, zieloną wysepkę na Liszce i kiosk z zwodzonym mostkiem na łańcuchu... Przypomniał sobie to wszystko teraz tak wyraźnie, całą rozmowę na cmentarzu wiejskim, całą scenę pierwszego odezwania się ich miłości i jej lzy, gdy ją chciał pocałować drżącą w jego objęciach, lzy tak inne od tych, jakie dziś przy nim wylewała, i jakiś głos szyderycy, nielitościwy odezwał się w głębi jego duszy:

— Mogłeś być przecież szczęśliwy, mogłeś i kochać i marzyć i dać szczęście tej, którą dzisiaj straciłeś nazawsze, a której pragniesz więcej, niż kiedykolwiek, bo pustki w życiu nie masz czem wypełnić!... chciałeś otumanić serce, chciałeś szukać siebie, chciałeś rachunek życia samemi librami rozwiązać, dobrze ci teraz. Masz wszystko, czego żądałeś, masz swobodę, majątek, stanowisko, masz środki do dopięcia pięknym swoich celów, masz żonę, która cię kocha: a szczęścia nie masz i zadowolenia... nie umiesz być szczęśliwym i wiesz się w cierpieniach, jak robak zdeptyany. Los cię przydeptał złotą podszewką,—czego chcesz! Zdawało ci się, że się poświęcasz szlachetnie, że potrafisz wytrwać bez miłości, że będziesz mógł żyć spokojnie, kochany, nie kochając... Czemuż nie jesteś szczęśliwy teraz?...

Od morza z powiewem wiatru leciał odgłos piosenki: *L'amour c'est un enfant de Bohême, qui n'a jamais, jamais connu de la loi!* jakby w odpowiedzi na to pytanie, co się tłukło po zwichrzonych myślach Romualda.

Tensam głos, co przedtem, mówił dalej do niego, z coraz większym smutkiem i goryczą:

— Zdaje ci się, że jesteś uczciwy, wypełniając tylko swe obowiązki, że nie oszukujesz żony, która ci ufa, choć wie, że jej nie kochasz, ale nie przypuszcza, byś kochał inną... A tymczasem tamta, ukryta w twoich myślach jest z tobą i przy tobie nieustannie, do niej się zwracasz z każdym smutkiem, do niej tęskniłeś od pierwszej chwili rozstania, o niej jedynie pamiętałeś w dniu swego pojedynku i dla niej jedynie chciałeś zostawić pożegnanie przedśmiertne; dla niej przecież przyjechałeś tutaj i dla nadziei zobaczenia jej znowu, porzuciłeś wszystkie projekta pozaczynane, zszarpałeś się, znużyłeś; nie udawaj, chciałeś wytchnąć przy jej boku, zapatrzony w jej oczy, zasłuchany w dźwięk jej głosu...

Potań ręką czoło, jakby chciał spłoszyć uparte myśli, które znowu wracały do niego:

— Oszukujesz siebie i drugich; rzuciłbyś dziś to wszystko, co ci się wydawało ideałem,—nie kłam, nie kłam przed sobą samym... Żadna sofistyka cię nie przekona. Całe szczęście, że ludzie, wśród których dziś vegetujesz, patrzeć dobrze nie umieją i nie mogą dojrzeć, co właściwie jest w tobie... Nie trać tylko apetytu i humoru przy nich, a nie będą cię do końca życia o nic podejrzewali. No, wstań teraz, podnieś głowę,

idź jeść ostrygi z teściem i przeglądać kurlistę z żoną!.. czeka na was świetne śniadanie w hotelu.

Nie chciało mu się ruszyć z miejsca, bezwiednie odłupał kawałek drzazgi ze spróchniałych desek i machinalnie wygrzebywał muszelki z wilgotnego piasku pod nogami, podczas gdy z głowy wydobywał najtajniejsze myśli, które, jak pleśnia porosła jego dusza.

— Co dalej, co dalej? — pytał sam siebie i marszczył czoło pochmurne, nie znajdując odpowiedzi na to pytanie.

Państwo Fiszbbaumowie z Ludwiką od pół godziny niecierpliwili się już przy stole, czekając na Romualda. Bankier był głodny a *gigot de mouton* wczoraj jeszcze było obstalowane na śniadania z zaleceniem, żeby je podano świeżuteńkie do stołu.

— Będziemy jedli — zawyrokował ostatecznie papa Fiszbbaum, nie chcąc dłużej wyczekiwać zięcia, i skinął na garsona—to trudno, kiedy się spóźnia, niech zjada resztki.

Ostrygi zajęły tak jego uwagę, że kiedy Romualda zobaczył nareszcie wchodzącego do sali, zapomniał przywitać go wyrzutem, lecz zdaleka już pokazując zięciowi na pełną tacę skorupiaków, wołał z zachwytem smakosza:

— Delicje!.. chodź, chodź i siadaj.

— Gdzie byłeś tak długo?—spytała Ludwika męża.

— Przechadzałem się nad morzem—odpowiedział jej krótko, bez dalszych objaśnień, udając, że się przypatruje ostrygom, aby nie potrzebował spojrzeć jej w oczy.

— Prawda, jaka ta Nizza śliczna!..

Nigdy banalniejszą nie wydała się Romualdowi rozmowa z teściem i teściową, jak tym razem i nigdy dotąd większego kontrastu nie czuł pomiędzy swemi myślami a słowami; wołał jednak to, aniżeli napomknienia o Zofii, które dotyczyły w tej chwili najdrażliwsze jego uczucia.

Raz omal, że nie zdradził się ze swoim stanem; było to w chwili, gdy Ludwika wyciągnęła swą drobną rączkę i zpod kłapy mężowskiego tużurka wyjęła fijołek, aby się jego zapachem nasycić. Uczyniła to machinalnie, nie podejrzewając nawet pochodzenia tego kwiatka.

— Jakie tu duże fijołki rosną—rzekła dobrodusznie — a jak pachną!

Romualdowi dech zaparło w piersiach; nie wiedział nawet o zdradliwym kwiatku, który odebrał się widocznie z bukietka Zofii, gdy ją tulił zapłakaną w swoim objęciu i pozostał przy nim, jako świadek i niemy oskarżyciel męża wobec żony.

Gdyby go była spytała przez prostą, kobiecą ciekawość w tej chwili:

— Zkąd masz ten fijołek, jeden, jedyny, odezwany, bez listka?...—byłby się zdradził pomieszaniem, albo musiał pospolicie skłamać przed żoną.

Ta reflexya upokorzyła go.

Kłamać!.. to tak niegodne mężczyzny.

Na szczęście, Ludwika bez myśli naraziła go na tę próbę; nasyciła się wonią fijołka, który niczem jej instynktu kobiecej podejrzliwości nie obdził i najspokojniej zwróciła go mężowi, wpinając kwiatek własnymi paluszkami w butonierę jego tużurka.

— Romu, nalej mi trochę wina — rzekła do niego obojętnie, nastawiając swój wypróżniony kieliszek.

Starał się opanować, mimo to ręka mu drżała ze wzruszenia.

Wesoły humor żony, jej śmiech i szczebiotanie wywołały w nim dzisiaj wręcz przeciwne wrażenie i przywodziły na myśl tę drugą, smutną, zapłakaną, z załamaniem rękoma, pogrążoną we wzburzonych myślach, w beznadziejnej walce wszystkich najsprzeczniejszych uczuć, które dzisiejsze spotkanie z nim rozkiełzało tak nagle.

Nie mylił się; ta spętana i ugłaskana hydra w sercu Zofii w jednej chwili zmienacka zerwała swoje pęta na widok Romualda, ale zamiast dawnej rezygnacji, jakiś buntowniczy szal wstrząsnął nią. Wiedziała, że poddając się mu, źle robi, że godność jej, kobiety uczciwej i czystej nie powinna dopuścić tych pokuszeń, ale czuła zara-

zem, że siłę wszelkiego rozumowania, głos zdrowego rozsądku przygłusza jakaś inna, mocniejsza potęga, wobec której widziała się bezbronną.

Była znuzoną, wyczerpaną wrażeniami i wstrząśnieniami dzisiejszego poranku, długim monologiem serca i umysłu, który nie miał żadnego słuchacza. Pierwszy raz czuła brak przy sobie jakiegokolwiek istoty, którejby zaufała, przed którąby ze swoich najtajniejszych utrapień zwierzyć się mogła; nie miała krewnych, była sierotą, nie miała przyjaciółki, jak inne kobiety w jej wieku; musiała poprzestać na sobie samej; nie miała własnego dziecka, na którego łonie mogłaby złożyć skołatana głowę i, nie wtajemniczając go w głębie swej nieszczęsnej miłości, szukać przy niem ukojenia i spokoju, znajdować współczucie w jego dziecięcym instynkcie.

Dziunia, wróciwszy do domu z guwernantką, zastała macochę bardzo zmienioną i dowiedziała się, że służba miała polecenie odprawiać wszystkich spodziewanych gości ode drzwi.

— Płakałaś?... masz takie czerwone oczy, czemuś płakała?—pytała dziewczynka z troskliwością ciekawego dziecka.

Pani Zofia łagodnie odsunęła ją od siebie i zbyła krótką odpowiedzią:

— Głowa mnie boli.

— Czyś ty słaba? — pytała znowu Dziunia— Co tobie? powiedz. Ty miałaś jakies zmartwienie.

Usiadła zdaleka i swemi dużemi czarnemi oczyma wpatrywała się badawczo w macochę, która spojrzeniem tych dziecięcych oczu czuła się zakłopotaną.

Wzięła ze stoliczka tomik Musseta dzieł w czerwony safian oprawny i udawała, że czyta. Przed kilku dniami przerzuciła jego „Carmozinę“ i zatrzymała się na scenie ósmej trzeciego aktu; otworzyła machinalnie książkę założoną w tem miejscu i próbowała czytać przesłizną rozmowę królowej z bohaterką sztuki, nie rozumiejąc ani jednego wyrazu. Nagle myśl jej ocknęła się; wzrok spoczął na słowach:

— *On peut aimer sans souffrir, lorsque l'on aime sans rougir...*

Przeczytała je po raz drugi z większą uwagą i skupieniem.

— „Można kochać, nie cierpiąc, kiedy się kocha, nie potrzebując się rumienić“ — powtórzyła w myślach słowa królowej i czytała dalej—„gdyż tylko wstyd albo wyrzut sumienia rodzi smutek, który stworzonym został dla winnych“...

Zastanowiło ją to zdanie.

— To prawda—mówiła sobie w duchu — cierpię, bo wstyd mi mojej miłości; kocham człowieka żonatego, kocham męża innej kobiety, nie mając prawa przyznać się do tego...

Rumieniec przebiegł po jej białych licach.

— Tak, ależ ja go kochałam, zanim jej mężem został — próbowała się usprawiedliwiać sama przed sobą — ja go jej odstąpiłam dobrowolnie!.. zabieram jej to, czego nie posiadała przede mną, co do mnie prawnie należało, jego miłość.

— Bądź logiczna — ostrzegał ją spokojny głos rozsądku — skoro go jej raz odstąpiłaś dobrowolnie, nie masz więcej żadnych praw do niego; po coś się wyrzekała jego miłości, aby teraz tęsknić do niej i rozpaczać bez niej?... tamta go kocha inaczej może, niż ty, ale kocha go również gorąco i ma dziś święte prawa żony przed tobą.

— A prawa serca? — wołał rozpaczliwy głos wydziedziczonej miłości.

— Tych praw nie strzeże żadna ustawa ludzka, nie dochodzi i nie broni żaden trybunał całego świata, nie określa żaden kodex — odpowiadał jej zimno, bezlitośnie rozsądek.

Spojrzała przypadkowo na kanapę i spotkała się ze wzrokiem Dziuni, która ją ciągle obserwowała zdaleka; te duże, ciekawe oczy dziecka patrzyły na nią tak, jakgdyby czytały w jej myślach.

— Dziuniu, pójdz do miss Wadston i zamknij drzwi za sobą — rzekła, aby się pozbyć badawczych spojrzeń dziewczynki, które ją przesładowały—ja spróbuję zdrzemnąć się trochę.

(Dalszy ciąg nastąpi)

RUCH MUZYCZNY.

Poczuwając się do obowiązku powiadomienia naszych czytelników o ruchu muzycznym rozpoczętego sezonu zimowego, pośpieszamy uczynić to, aczkolwiek niewiele jeszcze ważniejszych objawów tegoż ruchu zauważyliśmy.

W oczekiwaniu na mającą się w niedługim czasie ukazać nową (dla nas) operę Massenet'a, a nie sądząc, byśmy byli w konieczności liczyć się z dobrze znanymi nam wszystkim nazwiskami, które figurują na afiszach, zaczniemy nasze sprawozdanie od pierwszego tegorocznego koncertu Dyrekcji Teatrów, ze współudziałem sympatycznego wielce fortepianisty, p. Alfreda Grünfelda.

Jest to także osobistość dobrze wszystkim znana, a jednak każdy występ jego zawsze zainteresuje i zacieka. Przedewszystkiem gra jego jest tak odrębna, tak wiele mieści niespodzianek, że napewno przywiąże uwagę i uczucia słuchacza. Tym razem zauważyliśmy zwrot i pracę w kierunku poważnej dramatyczności i potężnych porywów, których wirtuoz chciał być tłumaczem, a sposobność do tego nastroczyła się w wykonaniu arcypięknego koncertu D moll, Antoniego Rubinstein'a. Otóż, koncertant dowiódł nam jaknajoczywiściej znanej dawno mądrym, że natura ciągnie wilka do lasu, a Grünfelda do—kantyleny, liryzmu, delikatnych a figlarnych odciwni dowcipu, lecz nie do dramatycznych uniesień, które nam się wydały tak źle udanymi, jak niybyto srogi gniew, słabego ojca wobec swojego synka pieściszka. Nakoniec pan Grünfeld wynagrodził sobie zadany przyśm, odtwarzając *con amore* „Moderato assai”, gdzie pod jego pieścizotliwymi palcami, cudnie uwydatniła się, jeszcze cudniejsza melodia Rubinstein'a.

W dalszym ciągu programatu usłyszeliśmy jeszcze „Andanté” Beethoven'a, „Nocturno” Szopena (H dur) i z własnych jego kompozycji: Mazurka i Rapsodya węgierska.

Występ ten p. Grünfeld'a jeszcze serdeczniej przywiązał słuchaczów do jego osoby i milego rodzaju jego artyzmu; szkoda by więc była, gdyby w tem, w czem jest tak nieporównanym, nie szukał swojej chwały.

Organizator koncertów symfonicznych Dyrekcji Teatrów, p. Józef Rzebiczek, wystąpił tym razem w podwójnej roli: dyrygenta i kompozytora. Ta druga jego rola, najwięcej nas zacieka, albowiem dyrygenta dawno już oceniliśmy. „Uwertura dramatyczna” p. Rzebiczka, jest to typowe dzieło rutynowanego kapelmistrza; takie pisał i Berlioz i wielu innych. — Całość dzieła składa się powiększej części z efektów instrumentacyjnych, zręcznych zwrotów kolorytu orkiestralnego—dowcipnych pomysłów cieniowania, lecz treści, i to dramatycznej, znajduje się bardzo mało. Trochę banalnych tematów, pretensjonalnych modulacji harmonicznyc: oto i wszystko. Zato opracowanie instrumentacyjne nie pozostawia nic do życzenia. W uwerturze tej znać rękę znawcy orkiestry i jej właściwości; co tylko można było wyzyskać efektów różnorodnością brzmień i siły, to wszystko ma tam swoje zastosowanie; słucha się tego nawet z przyjemnością, albowiem ładnie brzmi, lecz głębiej zajając nie jest zdobne. Wykonanie było prawdziwie koncertowe; orkiestra Teatru Wielkiego chciała widać dowieść swemu kierownikowi, że gdy zechce, potrafi z całym poszanowaniem sztuki i wysokim artyzmem, wykonywać powierzone sobie dzieła; szkoda tylko, że pewnik uczonego świata, iż nic na ziemi nie ginie, uzupełniła, dowiodłszy, że i nic nie przybywa; wszystkie strony dodatnie w wykonaniu Uwertyury p. Rzebiczka, stały się ujemnymi w „Koryolanie” Beethovenowskim — słowem: dobre wykonanie jednej kompozycji odbyło się kosztem drugiej, którą, śmiało to możemy powiedzieć, chyba pierwszy raz w Warszawie tak niedbale wykonano. Drugą część koncertu zapełniła piękna Symfonia A moll,

Menčelsohn'a, której, wskutek przystępności jej stylu i sympatycznej kantyleny, zawsze mile słucha większość naszych melomanów.

Młode Towarzystwo śpiewaków zwane: „Lutnia” rozwija się dalej; członków czynnych coraz więcej mu przybywa, rozbudzając potrosze uśpione zamiłowanie do śpiewu chórowego, który ma tak wielkie znaczenie, jako środek higieniczny, estetycznie kształcący i umuzykalniający. Cieszymy się prawdziwie tym objawem zamiłowania, spodziewając się w przyszłości wielkich rezultatów z tej wspólnej pracy lutnistów, tembardziej, że mocno wierzymy w ich wytrwałność i w umiejętny kierunek Dyrektora Towarzystwa, p. Piotra Maszyńskiego. Koncert, trzeci z kolei, od początku założenia Towarzystwa, odbył się w dniu 16-tym Października, w natłoczonej sali Resursy Obywatelskiej. Programat składał się z kilku pieśni ludowych, oraz kompozycji Zarzyckiego, Noskowskiego, Grossman'a, Müncheimera i innych.

Szczególniej podobał się piękny śpiew, mający służyć za hasło dla „Lutni,” nagrodzone konkursowe dzieło pana Zygmunta Noskowskiego: pod względem zaś wykonania bardzo pięknie przedstawił się trudny kwartet „Pieśń wędrowca” Zarzyckiego. Pieśni ludowe, jak zwykle, miały wielkie powodzenie. Obecnie cierpliwie wyczekiwac będziemy dalszych postępów, których ujawnienie się niedługo pewnie nastąpi; szczególniej zaś byłibyśmy ciekawi usłyszeć który z pięknych chorałów, na szeroko trzymanych frazach, aby przekozać się: oile już głosy śpiewaków zdołały zlać się w jedno brzmienie, tworząc tak trudną do otrzymania zgodę, czystość intonacji i ujednostajnienie charakteru głosów.

Przez wzgląd na ścisłość kronikarską, zanotujemy tu jeszcze pobieżnie wiadomość o koncercie panny Jadwigi Iwanowskiej, utalentowanej fortepianistki i deklamatorce. Nieraz z przyjemnością słuchaliśmy jej wdzięcznych popisów w Towarzystwie Muzycznym: to też nie zadziwiła nas wiadomość, że panna Iwanowska pragnie dalej się kształcić, i w tym-to celu zamierza opuścić Warszawę. Podobno jednak nie jest jeszcze zdecydowaną, któremu z dwóch swoich talentów ma dać większą przewagę i oddać się niepodzielnie.

Panna Alicya Barbi odwiedziła Warszawę, dając ją dwoma koncertami. Przekonanie, jakie powzięliśmy o śpiewie tej artystki, pozostaje niezmiennie w niczem. Jest to zawsze tasama wysoce poetyczna i inteligentna wirtuozka. Śpiew jej zawsze robi wielkie wrażenie skończonością deklamacji i głębokim artyzmem, jak również indywidualnością w pojęciu; koloratura zaś, wysoce wyrobiona, uzupełnia wszystkie dodatnie warunki doskonałej śpiewaczki koncertowej, za jaką uznał ją cały już świat muzyczny.

Literatura muzyczna została w tych czasach wzbogacona nader cennym dziełem pedagogicznym w dziale muzyki wokalne. Jest niem, „Szkoła śpiewu,” ułożona i zebrana z najgłośniejszej sławy autorów specjalistów, przez pana Mieczysława Horbowskiego, profesora śpiewu w Konserwatorium warszawskim. Spotykamy tam na początku wiązanek uwag ogólnych, przestrogi i wskazówek, o których uczący się śpiewu nie powinien nigdy zapominać. Potem następuje kurs praktyczny nauki, poczynając od postawienia głosu, aż do dźwięków ciągniętych (suoni filati). Dalej, podano szereg doborowych wokalizmów, których ilość, w razie, gdyby okazała się niewystarczającą, łatwo da się uzupełnić stosownie do wymagań nauki, gotowym materiałem, znajdującym się w innych tego rodzaju dziełach. Widzimy więc, że co się tyczy systematu i zdobyczy opartych na doświadczeniu wielu znakomych nauczycieli śpiewu, Szkoła ta, jest bardzo wyczerpująco ułożoną, tembardziej, że pan Horbowski zamierza wydać część drugą, obejmującą w dalszym ciągu solfedzja. Co do usterek, których trudno uniknąć, opracowując tak obszerne dzieło, zauważyliśmy głównie dwie — mianowicie: styl działu teoretycznego cokolwiek niedbały, oraz słabe wogóle opracowanie akkompaniamentów w ćwiczeniach, (N 30) —co ze względu

na kształcenie poczucia muzycznego w uczniach, nie uważamy za rzecz podrzędną; po drugie zaś, niezadawała nas wcale rozdział traktujący o trylu, aczkolwiek poparty zdaniem takiej znakomości, jaką jest Lamperty. Dowodzenie autora zdradza lekceważenie prawideł, stosujących się do tego ozdobnika, albowiem, ogólnie biorąc, tryl tak dobrze może mieć zastosowanie w muzyce rozpoczętej od nuty posilkowej, jako też i od nuty rzeczywistej (reale), zaczem idzie, że uczeń powinien umieć go wykonać na obydwu sposoby. Z tem wszystkiem uważamy to dzieło za bardzo pożyteczny zasilek w uzupełnieniu ubogiej naszej literatury muzyczno-dydaktycznej.

Drugim dziełkiem, które niedawno temu się ukazało, są: „Zasady palcowania fortepianowego,” opracowane przez pana Erazma Nowakowskiego, a wydane staraniem sekcji naukowej Towarzystwa Muzycznego. Autor tej broszurki, nie mając na celu postawienia niewzruszonych źruniczem zasad palcowania, co byłoby prawie niepodobieństwem, chce tylko ułatwić uczącym się poznanie reguł, które zostały ustalone jako najpraktyczniejsze. Zestawił więc w jedną całość wskazówki użycia palców, począwszy od gam zwyczajnych aż do chromatycznych, dźwiękami pojedynczemi i podwójnemi. Dalej jest mowa o trylu, przekładaniu rak, perkussyi, o głuchej zmianie palców, o wyjątkowym palcowaniu ze względu na expressyą muzyczną i t. d. Wszystkie te działy, broszury, jasno i poprawnie wyłożone, mogą przynieść rzeczywistą korzyść uczącym się, albowiem, dając im gruntowną podstawę w tak ważnej części techniki fortepianowej, ułatwią owiele późniejsze wyrobienie własnych poglądów i odrębnych właściwości każdej ręki. Dzieło to szczególniej może być przydatnem, dla uczących się bez nauczyciela.

Juljusz Statler.

List z Anglii.

Dnia 1 Listopada 8817 r.

Jesień jest dla Anglika czystej krwi porą najweselszego ożywienia. Polowanie, szczególniej z chartami wśród obszernych wrzosowisk, można nazwać jego namiętnością, której oddaje się z zapalem młody i stary, a którą i kobiety podzielają z mężczyznami. Już to łowczyni Dyana odradza się prawdziwie tylko w Angielce. Jakkolwiek we Francji damy dworskie brały zawsze udział w łowach królewskich, jakkolwiek lasy Fontainebleau i Compiègne widziały za Napoleona III i biednej cesarzowej Eugenii nadobne amazonki, stające w szeregu myśliwych, była to tylko galanteria dla pięknych pań, chciwych zabawki. Jedynie Angielka poluje naprawdę i nie w wyjątkach tylko — poluje rzeczywicie wespół z mężczyzną i jesień ze swą mgłą i opadającymi liśćmi nie jest dla Anglików porą smętnej melancholii. Przeciwnie: ludzie z miasta przybywają wtedy na wieś, dwory się ożywiają, sąsiedzi spraszają się kolejno i zbierają gromadnie, więc też tak, jak w dziedzinach *Pani Jeziora*: „gdy zwierz ucieka, a gończe gonią, myśliwce pędzą i w trąbki dzwonią”... jest tu wtedy gwarno i wesoło, a przybysz obcy widzi przy tem dowodnie, jak to pomaga ludziom tutejszym żyć czerstwem i zdrowo.

„There is certainly no such tonic as hunting...” mówi ci każda matka angielska, której synowie i córki oddają się z zamiłowaniem łowom z konia, polowaniu z naganką, a widząc, jak się przytem muszą rozwijać siły, jak krew gra w żyłach, trzeba przyznać słuszność temu zdaniu. Nic nie wzmacnia więcej nad ten ruch na świeżem powietrzu, przy wesołym nastroju umysłu i podbudzonej żywotności całej istoty. Żadna gimnastyka urzędowa tego nie daje, więc też i zastąpić nie może. Ze Angielki są wogóle dobrimi gospodyniami i matkami rodzin, dużo w tem znaczą ćwiczenia siły, w naturalny porządek ich życia wpro-

wadzone. Broni ich to również od plagi, dotykającej ich sąsiadki z drugiej strony Kanału. Angielka nie może być nigdy taką elegantką, taką kokieterijną, płochę, lekkomyślnego życia kobietą, jakiej typ przedstawia Francuzka klas zamożnych, która dała światu damę salonową najłżejszych obyczajów i stworzyła odpowiednią temu literaturę, w której się podobizna jej odbija. Angielka nienerwowa, nie nudząca się wśród mniej więcej zbyt kownych budoarów, stykając się z żywym życiem i jego ruchem, z jego prawdą, tak sobie wśród tego moralny charakter wyrabia, jak fizyczny organizm w świeżym powietrzu kąpie. Ludzkie i realne strony życia nie zamierają w niej, przez sztuczność salonową uduszone.

Potrafi mimo tego być i wielką panią, gdzie potrzeba; potrafi kobieco czuć i myśleć. Ze moralność rodzinna w jej kraju stoi wysoko, to jej zasługa, bo wszędzie i zawsze obyczaje tworzą kobiety i ksiądz biskup Warmiński nie mylił się w tym zdaniu, że mężczyźni rządzą światem, a mężczyznami kobiety. Drugim i niepoślednim sprawdzianem wartości kobiet angielskich, jest angielska literatura belletrystyczna. Angielka odrzuciła by z dumą, ze zmarszczką gniewu i obrazy na czole te romanse Francji dzisiejszej, nie mówię już naturalistyczne, ale wszystkich szkół mniej więcej realistycznych, gdzie zawsze i jedynie kobieta jest przedstawiona albo w stanie upadku i grzechu, albo, i to już tam uchodzi za książkę moralną, jako z upadkiem i grzechem — z wiarołomstwem walcząca.

Angielka nie zacieśnia sobie umysłu do jednej sfery myśli i zajęcia: czy się podoba, lub nie? nie żyje tak wyłącznie romanssem, postawionym zawsze na ostrzu moralności i uczciwości obyczajowej. Literatura angielska, przedstawiająca obrazy innych jeszcze stosunków ludzkich, innych prac, uczuć i zabiegów, nie pochłania tak wyobraźni kobiecej w kierunku jednym i najmniej pożądanym.

Zaszedłem do tych wszystkich uwag i porównań od jesiennych polowań, których wesołą wrzawą rozbrzmiewają tu teraz błonia i lasy, ale pono na każdym cudzoziemcu wywiera to wrażenie niemałe, gdy widzi, jak Angielka jest dzielna i wytrzymała, jak wskutek tego umie sobie znaleźć na wsi wśród rodziny i sąsiadów wiele przyjemności i rozrywek niekosztownych, do otrzymania łatwych, które jednak umilają jej życie, a zarazem bronią od tęsknoty do balów, do strojów, i myśli, nie tonąc w fatalizmach, w innych kierunkach zwraca się i pracuje. Dodać tu przytem trzeba, że każda panna i pani wiejska, jest dobrą botaniczką, każda ma ładny ogród, którym bez żadnego ogrodnika zarządza, jeżeli nie jest panią zamożną. Sama szejpi, sieje, sadi, do gorącego znoju na czole, bo u wielu staje się to zamiłowaniem, które obok korzyści praktycznych stanowi źródło przyjemności i nawet ambicji, gdyż prowincjonalne wystawy ogrodnicze, letnie i jesienne otwierają pole do popisu i tryumfu.

Z takiego też społeczeństwa mogą jedynie wychodzić te odważne, na świat sławne podróżniczki, jak niedawno zmarła lady Anna Brassey, o której powiedzieć można, że żałuje jej Anglia cała. Była to wielka pani, ale nie ze starego rodu. Z domu i przez zamężcie należała do tych milionerów City, którzy złotem swoim mogliby zakupić pół świata, i na których opiera się głównie pieniężna sława i potęga Anglii. Ojciec jej, Jan Allnutt, był człowiekiem bardzo bogatym, ale ojciec męża, Tomasza Brassey, któremu następnie wybitne zasługi w służbie admiralicyi zyskały wiele znaczące w Anglii podniesienie do godności lorda i baroneta, krezus już był, z bogactw przeogromnie na przedsiębiorstwach kolejowych. Urodzona w 1840 r. w Londynie, wyszła za męża w 1860, więc dwudziestoletnia, a mąż jej, jeszcze wtedy poprostu Tomasz Brassey, już przecież zasiadał w parlamencie i był wyższym urzędnikiem w departamencie marynarki. Małżeństwo zostało zawartem ze skłonności serc; ona bardzo ładna, żywa i inteligentna, objawiła zaraz po wyjściu za mąż swoje upodobania podróżnicze i pierwsza podróż poślubna nie była do

Paryża, aby świecić milionów swoich zbytkiem i elegancją wśród ówczesnie rzeczywistej stolicy świata, ale na Wschód Europy, do Turcji, do Wysp Greekich. Przepłynięto dwukrotnie Morze Śródziemne wzdłuż i wszerz, a młoda pani spisywała wszystkie wrażenia otrzymane i mściła je w listach do ojca, bardzo gorąco kochanego, który czytywał je przyjaciółom i za powrotem młoda podróżniczka została przyjętą pochwałami za swój styl żywy, za swoje świetne obrazowanie rzeczy widzianych.

Nalegano, aby to drukowała i rzeczywiście ułożyła z listów owych książkę: „The Flight of the Meteor“, która przecież wyszła tylko w liczbie ograniczonej egzemplarzy, przeznaczonych dla przyjaciół.

W kilka lat potem znowu młoda para puściła się w podróż, ale już dalszą, przez Atlantyk, do Kanady i Stanów Zjednoczonych, a w 1872 r. wyższe sfery angielskiego towarzystwa czytały z wielkiem zajęciem opis owej podróży: „A Voyage in the Eothen“ wydany wspaniale, lecz tak jak poprzednio tylko w stu egzemplarzach. Autorce przyznano i teraz niepospolite przymioty pisarskie: posiadała prawdziwy talent zajmującego opowiadania, styl był malowniczy, a że umiała patrzeć na świat inteligentnie, opisy jej miały wartość, jako charakterystyka ludzi i natury.

Ale jak ów ptak, któremu skrzydła coraz rosną i którego w miarę, jak coraz dalej leci, ogarnia taka miłość przestrzeni, że ją żywiołem swoim czyni, tak młoda pani stała się z wolna podróżniczką z zamiłowaniem, które podzielał i mąż. Para była dobrana, w 1874 roku puszczono się znowu w świat daleki; ale teraz już inaczej: wygodniej, zasobniej pod względem wszelakim. Zbudowano własny statek: jacht „The Sunbeam“ (Promień słońca) i jeżeli lady Brassey nazywa go swoim domem na Oceanie, nie dopuszcza się przesady. Dom to był rzeczywiście taki, jakgdyby go zabrała z której majątności swojej i spuściła na wodę. Był tam apartament złożony nie tylko z salonów, gabinetów, komnat licznych, ale miał bibliotekę, gabinet narzędzi matematycznych, a wszystko to obszerne, przestronne, urządzone zkomfortem wytwornym. Ze przecieź kobieta żadna ruchu i wrażeń, była obok tego sercem tkliwą i dobrą, kochającą matką, więc z dziećmi, których już było czworo, rozdzielać się nie chciała w podróży, wioząc wraz z niemi piastunki, ochmistrzynią, tak, jak drugostronnie był marszałek dworu, kucharz, lokaje — cały dwór pański.

Trzeba mieć miliony funtów sterlingów, aby mózgi tak zadawałniam fantazyje swoje; że przecieź nie porzucano dla nich obowiązku, że strona moralna życia nie cierpiała, bo były godziwe i bynajmniej nie nikczemne, więc w kobiecie, która je tworzyła, trzeba tylko widzieć oryginalność i bujną wyobraźnię.

Popłynięto tak do Konstantynopola, gdzie małżonkowie weszli w stosunki z najwyższymi sferami towarzystwa, a M-rs Brassey zapukała do drzwi haremów, oddając wizyty żonom wysokich dygnitarzy i baszów miejscowych. Dalej zapragnęła być przedstawioną Sułtanowi, żonom i kobietom jego rodziny, z którymi zawiązała przedko stosunki towarzyskiej zażyłości, a nawet przyjaźni. Angielka każda nosi w piersi wrodzone jej narodowi uczucie niepodległości i godności osobistej, więc ona, w której te przymioty były zapewne wyżej jeszcze rozwinięte, zaczęła okazywać poznany Turczynom, że życie ich wpływa w nicości i nędzy moralnej, że kobieta nic nie mniej, niż mężczyzna, ma swe duchowe cele, które spełniać jej się godzi, a że podstawą tego wszystkiego jest i być musi wolność osobista, bez której niema ani zasługi, ani winy, więc życia w jego znaczeniu wyższym, w jego dorobku moralnym, zatem i one powinny jej zapragnąć, lecz zarazem i uzdolnić się do niej.

Mówiła mężowi w pół żartem, w pół poważnie, że była ona dla tej zapuszczonej, chwastem przesądów zarosłej roli kobiecości ogrodniczką, że wzruszyła grunt i wsiała tam ziarna, które wejdą. Gdy w powrotnej do kraju podróży w 1878 roku znow wstąpiła do Konstantynopola, przekonała się, że dobrze zrozumiała położenie. Ziarna

ka zakiełkowały i wychylały się do życia, jakkolwiek dawały znać o sobie bardzo powierzchownie. Gdy angielska pani urządziła na swym jachcie, stojącym w przystani Konstantynopola, wspaniałe przyjęcie dla sułtanek i kadin rozmaitych wyższego stanu, przybyły do niej w ubiorach europejskich i w zasłonach prawie tak przezroczystych, jak weloniki u kapeluszy kobiet europejskich.

Jak poprzednio tak i w tej podróży M-rs Brassey pisywała do ojca długie listy, przytem prowadziła dziennik spostrzeżeń, wrażeń doznanych i znowu stworzyła się z tego książka, ale już dla całej angielskiej publiczności dostępna, nosząca tytuł: „A Voyage in the Sunbeam, our home on the Ocean for eleven months“. Wyszła ona zaraz wkrótce po jej powrocie do kraju w 1878, a autorka jej została uznana przez szerszą już krytykę za pisarkę bardzo utalentowaną, przyjemną narratorkę a zarazem głębszą myślicielkę i spostrzegawczynią. Cztery wydania, następujące jedno po drugim, stwierdziło to uznanie zwłaszcza, że je poparły przekłady na język obcy.

W 1879 roku wyszła edycja skrócona dla użytku młodzieży, a ministeryum oświecenia nakazało ją w 1880 roku, jako książkę do czytania dla młodzieży szkolnej. W 1881 roku księgarz Longman wydał zeszytami text pierwotny, na tanim papierze; popularne to wydanie zyskało sobie taką poczytność i tyle edycyi, że porównano książkę lady Brassey z Robinsonem Kruzoe, a nazwisko autorki zajęło w literaturze zaszczytne miejsce.

Lady Brassey nie przestawała tak podróżować, jak i pisać, ukazywały się też w druku kolejno wychodzące książki: w 1882 roku „Sunshine and Storm in the East, or Cruises to Cyprus and Constantinople“; w 1883 roku „In Trades, the Tropics, and Forties, or Fourteen Thousand Miles in the Sunbeam“, a to ostatnie dzieło, które w przekładach nosi tytuł: „Podróż na około Świata“, mieści szczególnie zajmujące obrazy wysp zachodnio-indyjskich i okolic podrównikowych, tak w opisach tego, co widzieć się daje na lądzie i morzu, jak i tego, co morze w sobie mieści i co w głębiach jego żyje.

Śmierć zaskoczyła ją również w podróży na deskach jej morskiego domu — na jachcie „Sunbeam“. Wypadek ten bolesny miał miejsce między Portem Darwin w Australii Północnej, a Przyładkiem Dobrej Nadziei, do którego się kierowano. Najbliższą ziemią była Wyspa Maurycego, przecieź zwłoki, owinięte w całun żałobny, spoczęły na dnie Oceanu.

Była z nią rodzina jej cała, mąż i wszystkie dzieci: trzy córki i syn; śmierć przyszła z gorączki, z malaryi oddawna ją trawiącej, która wzmożła się nagle. W podróż tę ostatnią puszczono się w Listopadzie 1886, ona już słaba i właśnie szukająca zdrowia w ruchu i tym swobodnem oddechu, jaki tylko Ocean dać może.

Lord Brassey spodziewany jest wraz z dziećmi w Anglii przy końcu tego miesiąca.

Zmarła była cenioną nie tylko jako podróżniczka i pisarka. Przy ogromnym swym majątku była nie tylko dobroczynną, ale dobroczynną czynnie, rozumnie i starannie. Order S-go Jana Jeruzolimskiego, który na portretach jej widnieje na piersi, otrzymała za wielkie zasługi w urzędzeniu ambulansów towarzystwa kawalerów pod temże wezwaniem. Król Wysp Sandwich, obdarzył ją też orderem Kapiolani, gdy go gościnnie podejmowała 1881 r. w zamku swoim Normanhurst-Castle.

Anglia straciła w tym samym czasie inną jeszcze znakomitą kobietę, pisarkę wyższego talentu, M-rs Craik. Pisano już o niej, ale zakradły się w pośmierne wspomnienia dwie niedokładności. Umarła nie w Londynie, lecz w wiejskiej swej posiadłości w okolicach Kentu, i spoczywa na malowniczym cmentarzu w Keston, gdzie pragnęła mieć grób; przytem jej rodowe nazwisko pisano, jak zwykle w Anglii: „Mullock“, gdy ona trzymała się zawsze i bardzo za zdrowie jego ortografii galijskiej, według której powinno być: „Muloch“.

(Dokończenie nastąpi).

Obrazki z wojny francuzko-niemieckiej.

JAKÓB BRÛLEFORT

Przez JERZEGO RENARD

przekład

Maryi Kostrowickiej.

(Dokończenie).

— Jaka szkoda, że Jakób dał się złapać, mowiliśmy też sobie. Niechby mu się chociaż udało złamać jakiś trybik, żeby to wszystko nie mogło ruszyć dalej. Ale to pachniało już śmiercią na gałęzi. On tymczasem zabrał się do dzieła i na poczekaniu wyszykował wszystko, jak się należy, bo był to robotnik i majster co się zowie. I gdy rozgrzewali kocioł, słyszeliśmy, jak udzielał komendantowi rozlicznych objaśnień. Niemiecki lis obawiał się stromej drogi ze szczytu góry. Jakób go uspakajał; wiedział przecież co należało czynić: zwolni bieg lokomotywy przy początku, przykróci hamulce i zaczepi je o tylne koła, aby się wcale nie obracały; w razie potrzeby może też i parę zupełnie powstrzymać.

— Niech się p. komendant nie obawia—mówił.—Ręczę za wszystko. Znam ja się z tem dobrze, a kiedy już co robię—to robię. Tylko trzeba posłać ludzi naprzód, aby zmiotli śnieg, który się nagromadził na stoku góry. Moglibyśmy się ześlizgnąć.

A właśnie przez cały poprzedni tydzień padał śnieg gęsty. Nie leżał wprawdzie grubą warstwą na drodze, bo go rozniosły wozy i nogi idących, jednakże było go jeszcze dosyć pomiędzy kamieniami, a że w nocy mróz był dobry, cała szosa połyskiwała w promieniach porannego słońca jak lustro. Komendant zauważył to również.

— Masz słusność—odpowiedział Jakóbowi.

— W kilka minut później oddział Prusaków niby gromada drózników, rąbał oskardami i motykami lód na drodze, zamiatał śnieg miotłami i rozsypywał łopatomi świeżą ziemię przez całą pochyłość. Przez ten czas Jakób czekał; lokomotywa dyszała gotowa do drogi, Jakób siedział na niej, paląc sobie spokojnie fajkę, jakgdyby się znajdował u siebie. Ale komendant jeszcze się nie czuł zupełnie spokojnym. W chwili ruszenia maszyny przywołał do siebie porucznika i coś mu mówił; słyszałem słowa, lecz ich nie rozumiałem. Porucznik odpowiadał ciągle:—Ja... ja... i wydawał mi się przytem głupim, jak osioł. Ale nieprawda... Zobaczyłem, jak wyciągnąwszy zza pasa rewolwer wdrapał się zaraz na lokomotywę obok Jakóba, a komendant krzyknął po francuzku:

— Hej! ty tam mechanik, wiedz, że za pierwszą chętkę ucieczki dostaniesz kulą w łeb!

Jakób wzruszył ramionami.

— Nie myślę uciekać — odparł.

Komendant jednakże dla większej pewności wyciągnął swój batalion w dwa szeregi po obu stronach drogi, sam stanął na czele i zakomenderował: Marsz... Lokomotywa gwizdnęła, sapnęła, szarpnęła z całej siły, wozy z armatą poruszyły się z wielkim szcękaniem żelazstwa i wszystko to razem z wolna pomiędzy dwoma liniami żołnierzy pociągnęło drogą.

My pobiegliśmy do wioski oznajmić o zbliżeniu się przeklętej maszyny, wszyscy z domów wylegli na ulice, mężczyźni, kobiety, dzieci, aby się jej przypatrzeć. Wkrótce rozległy się wołania:

— Już jedzie! już jedzie!

Już ją widać było na górze czarną, dymem ziejącą. Pochylił się pan nieco w tę stronę, a bę-

dziesz widział doskonale to miejsce. Zaledwo to dziesięć kroków od naszej oberży. Patrz pan tam, gdzie się kończy mur parku, a zaczyna szosa, tam również zaczyna się zjazd z góry, najpierw mała pochyłość, a potem już jakgdyby kto miał lecieć z pieca prosto na łeb...

— W tej samej chwili gdy ruszono, komendant rozsiadający się pysznie na siodle, wielkiego koniska, zwróciwszy się ku Jakóbowi zawołał:

— Baczość!

— Nie ma strachu — odparł Jakób — przyciągnę hamulce, jak mówiłem.

Ach! panie, gdybym żył sto lat, nie zapomnę nigdy tego, co w owej chwili nastąpiło; ani ja, ani nikt z tych, co to widzieli, pewno nie zapomną. Wtedy zrozumiałem dlaczego Jakób wysłał żonę i syna z wioski. Byliby skonałi na miejscu, dziecko i kobieta, albo zwaryowali oboje.

Zamiast ściągnąć hamulce, on wszystkie łańcuchy rozpuścił i w oka mgnieniu rzucił się na porucznika, wytrącił mu z ręki rewolwer, wołając brzmiałym, wielkim głosem:

— Niech żyje Francya!

Lokomotywa leciała z góry w dół podskakując na kamieniach, za nią pędziła armata i laweta ze straszny impetem i piekielnym łoskotem. Komendant zaledwo zdążył odskoczyć na bok, aby nie być zmiażdżonym. Rzucił się jak wściekły, rycząc jak zwierzę, wydawał rozkazy swoim Prusakom. Zapewne wołał: Trzymajcie go! Zabijcie! Aha! zaraz! Niemcy ogłupieli ze zdumienia i strachu. A przytem znaczyłyby to samo, co chce zatrzymać pociąg kolei żelaznej pędzący całą siłą pary. Lokomotywa gnała prosto z szybkością kuli. Domy się trzęsły; kamienie na szosie pękały, rozsypując snopy iskier; była to jakgdyby burza pędząca z gromem i błyskami. Jakób, trzymając mocno swego Prusaka wyglądał, jak szatan, ale trwało to minutę może. Usłyszano go raz jeszcze — Niech żyje Francya krzyknął poczem odrazu na zakręcie drogi wszystko z okrutnym hałasem zwałiło się przez żywopłot i znikło w parowie. Gdybyś pan chciał wiedzieć, jaki to był huk straszny, musiałbyś sobie wystawić, że piorun tu, tuż przy nas w tej sali uderzył. Potem zaraz nastąpiła straszna cisza. Nikt nie był zdolny przemówić; kobiety pozasłaniały głowy fartuchami; nam mężczyznom zdętwiały nogi i serca przestały bić w pierśiach.

Stary Piotr umiął na chwilę; przy ostatnich słowach głos jego drżący był i stłumiony, tak go przejmował odnowiony w wyobraźni obraz tej strasznej sceny. Pociągnął wina dla nabrania siły i rzekł, usprawiedliwiając się z doznanego wzruszenia:

— Czy pan uwierzy, że nie mogę o tem wspomnieć, żeby na mnie skóra nie cierpiała. Nie głupotaż to? Po piętnastu latach... Lecz trudno na to poradzić i chyba do śmierci tak będzie.

— Chcąc panu już wszystko opowiedzieć, dodam jeszcze, że Prusacy całą szóstą tygodni strawili nad wydobywaniem swego działka z parowu. O, zrobiła się tam cała góra, z pokręconego żelazstwa, poodrywanych kół, powyrywanej ziemi, połamanych drzew i porozbijanych kamieni. Skoro nareszcie wydobyto go z tego wszystkiego, już było zapóźno: nie mogło się przydać do bombardowania Paryża, albowiem skończyło się obłężenie.

— Dzielnym Jakób tego chciał właśnie. I powiedzieć, że go nawet nie można było uczcić takim pogrzebem, na jaki zasługiwał. Tak był pogruchotany, że dopiero w kilka dni później znaleziono coś resztek zakrwawionego ciała, a i to jeszcze nie można było na pewno wyrzec, czy to były szczątki Francuza, czy którego Niemca. Zaniesiono to na cmentarz, pokryjomy prawie, gdyż Prusacy byli ciągle w wiosce i ciągle wściekli. Później na tym grobie położono skromny kamień z jego nazwiskiem pod którym umieszczono napis:—*Zginął za ojczyznę!* z datą dnia i nic więcej. Za jakie lat trzydzieści nikt nie będzie wiedział, co to był za jeden. Żona jego niedługo umarła z żalu i zgrzyzoty, że go usłuchała i odeszła. Dom sprzedano, syn zaś, gdy tylko dorósł, zaciągnął się do wojska, jest już sierżantem, i można przysiąc, że ten tego

młócić będzie Prusaków, gdy mu się tylko do tego sposobność nadarzy. Ale nieczęsto tu bywa; może mu bardzo ciężko spojrzeć na te góry, a oprócz niego, oraz kilku jeszcze takich, jak ja, starych niedobitków, któż już wspomni o Jakóbie Brûlefort?

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Wiec w Poznaniu** w kwestyi językowej, odbyty d. 15 Listopada, zgromadził około 4,000 osób, przybyłych ze wszystkich ziem polskich pod panowaniem niemieckim: z Poznańskiego, z Prus Zachodnich, z Warmii, z Górnego Szlązka. Asystowało dwóch urzędników korony, posiedzenie zagał p. Franciszek Andrzejkowski, szewc z Poznania, na przewodniczącego obrano p. Ossowskiego z Montowa, z Prus Zachodnich, na zastępców: ks. Wolszlegera z Prus Zachodnich i hr. Ponińskiego z Wrześni, z Poznańskiego. Przemawiali: hr. Zółtowski, książę Zdzisław Czartoryski z Poznańskiego, Grosman kupiec z Inowrocławia, trzech włościan z Prus Zachodnich, dwóch z Poznańskiego, dalej ks. Kantecki i ks. Wolszleger. Następnie odczytana została uchwała wiecu:

I. „Wobec zupełnego usunięcia nauki języka polskiego ze szkół, zebrani dołożą wszelkich starań, ażeby dom rodzinny uzupełniał ten brak bolesny i nauczył dzieci polskie czytać i pisać w języku ojczystym“. II. „Opiece czcigodnego duchowieństwa i całego ogółu polecają zebrani tę zwłaszcza nieszczęśliwą działość, która w domu rodzicielskim nie będzie miała sposobności do nauczania się czytać i pisać popolsku“. III. „Zebrani wybierają komisyję, złożoną z pp. księdza Antoniewicza prob. z Bnina, Adama Kościelskiego z Sępna, Dr. Jerzykowskiego, Michała Więckowskiego i Karola Kozłowskiego z Poznania z prawem wspólnego działania i wyrażają życzenia, aby komisyja zajęła się przygotowaniem i szerzeniem elementarzy, katechizmów i innych odpowiednich książek, oraz tem wszystkiem, co może skutecznie pomódz do tego, aby dzieci polskie w szkołach pruskich uczyły się czytać i pisać popolsku.“

Wiec, trwający blisko trzy godziny, odbył się w największym porządku, nikt ze zgromadzonych nie przekroczył programu; urzędnicy wobec nienaruszonej legalności narad nie protestowali ani razu.

— **Lesseps** zawiadomił Paryżką Akademię Umiejętności, że kanał Panama zostanie otwartym d. 3 Lutego 1890 r. Choćby roboty nie były zupełnie ukończone, zawsze zostaną posunięte tak daleko, że 20 okrętów będzie mogło przepływać dziennie.

— **Z Jenisejska** donoszą, że wielki parowiec angielski, naładowany towarami, przeznaczonymi dla Syberyi, ukazał się u ujścia rzeki Jenisej, dostawszy się tam Morzem Karyjskiem. Jest to pierwsze takie przebycie tego morza, i oceanu aż do brzegów jenisejskich.

— **W Casale Monferrato**, mieście piemonckim, odkryto jednocześnie d. 23 Października trzy posągi: Urbana Ratazzi, Jana Lanza i Filipa Melano.

— **Z Paryża** donoszą, że dwaj malarze: Stevens i Gervey pracują nad olbrzymią panoramą, która pod tytułem: „L'histoire du Siècle“ ma figurować na wystawie paryżkiej 1889 r.

— **Ze Stanley Pool** nadeszłe, a miesiąc temu datujące wiadomości donoszą, że Stanley dostał się w głąb afrykańskiego lądu dalej, niż dotąd powstała tam kiedykolwiek noga białego człowieka. Od czasu jego ostatnich listów znał brzegów rzeki Aruwimi wyprawa posunęła się o 150 mil w górę rzeki. Stanley wysłał z powrotem do Stanley-Pool mały swój parowiec „Floryda“ po nowy ładunek towarów i po ludzi, co znaczącyby się zdawało, że śmiały ten wędrowiec przewiduje nieprzyjazne zamiary ze strony krajowców, jakkolwiek pisze, że dotychczas był wszędzie przy-

mowany bardzo życzliwie. Niemniej, obawiając się możliwej zasadzki i napaści, urządził on w miejscu swego obecnego pobytu dwa oszańcowane obozy, chociaż dotąd nie potwierdziło jego podejrzeń. Jest zupełnie zdrów, równie jak jego towarzysze; z miejsca nie ruszy, aż do powrotu statku z powiększoną załogą i potrzebami zapasami.

— **Kara Fatma**, nowożyta Amazonka, walcząca w czasie Wojny Krymskiej po stronie Turcyi, na czele posłusznego sobie hufca Kurdów, który na plac boju przywiodła, przybyła w tym czasie do Konstantynopola i widzieć ją można na ulicach miasta w męskim narodowym stroju Kurdów. Wysoka, chuda, twarzy ciemno-śniadej z wielkimi czarnymi oczyma, wygląda na czterdziestoletniego mężczyznę, jakkolwiek ma już lat 75. Epelety u ramion świadczą, że jest oficerem tureckim a krzywa szabla, w bogatej, drogiemi kamieniami sadzonej pochwie, spuszcza jej się od boku, przewieszona przez ramię na długim, ozdobnym pasie. Tureckie, francuzkie, angielskie orderki błyszczą jej na piersiach, a widzący ją ludzie przypominają sobie historią jej przybycia do Dobruży przed samem wyruszeniem wojsk sprzymierzonych do Krymu. Pewnego dnia nad wieczorem generał francuzki Lespinasse, usłyszał od strony wzgórz, zasłaniających z jednego boku obóz francuzki, dziwną jakąś muzykę, złożoną jakgdyby z drumli, bębenków, klarnetów i przeciągłych śpiewów ludzkich, a wyszedłszy co prędzej poza obóz, ujrzał zjeżdżający ze wzgórz oddział konny: trzysta Kurdów, na których czele była kobieta, siedząca na koniu pomeżku i w męskim kołpaku na głowie. Ujrawszy generała, amazonka zatrzymała oddział, zesiadła z konia i przystąpiwszy bliżej, oświadczyła przez tłumacza, że przybywa walczyć z niewiernymi za Koran i sułtana i oddaje się w tym celu pod komendę męznego wodza Franków. Generał przyjął tych niespodziewanych sprzymierzeńców, wyznaczono im w obozie miejsce: ale nazajutrz przed świtem słońca cały oddział był na koniach i opuszczał obóz francuzki, którego karność nie podobała się Kara Fatmie i jej wojownikom. Że po capstrzyku nakazano im gasić ogniska, zabroniono śpiewów i modłów, obruszyło to ich; przebyli wzgórze i po drugiej ich stronie założyli obóz. Przecież w czasie wojny Kara Fatma była posłuszną komendzie, biła się na czele swego oddziału bardzo mężnie, używana do podjazdów, dokonywała czynów wielkiej śmiałości, a pełna religijnego entuzjazmu i nocami śpiewająca przy drumli do proka, zasłużyła jednak rzeczywiście na stopień kapitana i na wszystkie dekoracye, które teraz na piersiach nosi.

— **W Antwerpii** kobiety z klas ludowych przewalczyły i wygrały bój śmiały w sprawie religijnych wierzeń swoich. Antwerpia jest wskrós katolickiem i bardzo pobożnem miastem, a cześć Matki Boskiej jest tam szczególnie gorąca i na murach wielu kamienic, zwłaszcza starego miasta widnieją obrazy Maryi Panny z Dzieciątkiem na ręku. Jeden obraz taki, bardzo stary, i szczególnie czczony, znajduje się na szczycie wąskiej kilkopiętrowej kamienicy, położonej na przeciwko Banku Narodowego, która w jesieni bieżącego roku zmieniła właściciela. Nowonabywca urządził na dole szynk; a zarazem obraz zamalował czerwoną farbą tak, że zamiast oblicza Matki Boskiej, ludzie ujrzeli dnia jednego czerwoną jakąś plamę. Krzyknęto, że właściciel jest socyalista i ktoś w nocy farbę, która była wodną, zdołał zmyć. Lecz właściciel zaraz nazajutrz kazał obraz zamalować na czarno, wtedy przecież stał się w całej tej części miasta rozruch wielki, aż zpośród kupujących się tłumów

występować zaczęły kobiety, głównie rybaczki, przekupki owoców, żony sterników okrętowych, i ruszyły wielką gromadą na miejsce świętokracstwa, gdzie zaczęły najpierw żyć sprawę bezbożnego czynu, potem ciskać w okna domu i we drzwi dolnego sklepu kamieniami, ceglami, błotem, tak, że nietylko wybito wszystkie okna, ale i drzwi dolne, tłukąc wtedy i niszcząc wszystko, co tylko znajdowało się w sklepie. Zawezwana policja przybyła z obroną—nadaremna, ponieważ przeciw kobietom nie chciano użyć broni. Wprawdzie schwytano kilka z przewodniczek i uprowadzić je chciano, ale wtedy odważne jej towarzyszki rzuciły się na obronę jeńców, odbiły ich i do ostatnio możliwego zniszczenia przeprowadziły dzieło swoje. Gdy noc zapadła walczące rycerki rzuciły się na kolana i z płaczem, z jękiem żalonym, poczęły śpiewać pieśni i godzinki do Matki Boskiej, poczem rozeszły się do domów.

Nienawiść do owego obrazobórcy jest wśród całej ludności tak wielką, że musiał nocą z miasta się wynieść, zostawiając dom swój tak zruinowany, że nietylko tynek jest zupełnie z murów odbity, ale wszystkie ozdoby architektoniczne do szczytu zniszczone i tylko czarnej plamy, pod którą obraz się kryje, żaden kamień nie naruszył, bo wśród największego uniesienia namiętności nie zapomniano miejsca tego szanować.

Nikt do władzy ze skargą o zniszczenie nie wystąpił, a że policja nie podniosła jej również, rzecz tak została i tylko wieczorami kobiety modlą się przed pustą ruiną.

STYPENDYA SZKOLNE.

— **Kancelarya Okręgu Naukowego Warszawskiego** podaje do wiadomości powszechnej, iż na rok bieżący szkolny 1887/8 wakują następujące stypendya z zapisów prywatnych:

Stanisława *Karkowskiego*, arcybiskupa gnieźnieńskiego, stypendyów pięć po rs. 90, dla uczniów: 1) z rodu Karkowskich; 2) szlachty herbu Junosza; 3) synów ubogiej szlachty.

Królowej szwedzkiej, *Katarzyny Jagiellonki*, stypendyum w ilości rs. 90, dla uczniów stanu szlacheckiego z rodu Szczuków, herbu Grabie, a następnie dla synów biednej szlachty, stałych mieszkańców gub. kaliskiej.

Andrzeja *Lipskiego*, biskupa krakowskiego, stypendyów trzy po rs. 81 dla najbliższych krewnych rodu Lipskich, herbu Grabie, a następnie dla synów biednej szlachty, stałych mieszkańców gub. kaliskiej.

Andrzeja *Ubysza*, kanonika plockiego, stypendyów trzy po rs. 47 każde, dla uczniów z rodu Ubyszów, herbu Cholewa, a w braku tych, dla synów biednej szlachty herbu Cholewa.

Baltazara *Czyżewskiego*, stypend. 2 po rs. 95, dla najbliższych krewnych, szlachty herbu Dryja albo Szczerbiec i nakoniec dla potomków linii żeńskiej domu Czyżewskich herbu Korab, na przedstawienie opiekuna zapisu p. Ignacego Konczykowskiego, zamieszkałego w Warszawie.

Konstantego *Szaniawskiego*, biskupa krakowskiego, stypendyów dwa po rs. 209, dla uczniów: 1) Szaniawskich szlachty herbu Junosza; 2) najbliższych krewnych zapisodawcy; 3) najbliższych krewnych rodziny Szaniawskich i 4) w braku kandydatów z pomienionych rodzin, dla synów niezamożnej szlachty (obywateli) powiatu łukowskiego.

Konstancyi *Skrzyńskiej*, z domu Gosławskiej, stypendyów dwa po rs. 100, dla uczniów z rodu Gosławskich i Doruchowskich, krewnych testatorki.

Księdza *Wojciecha Kuleszy* stypend. w ilości rs. 140, dla uczniów Kuleszów, przyczem pierwszeństwo mają pochodzący z parafii Kulesze, w pow. mazowieckim.

Wawrzyńca Surowieckiego, stypendyów trzy po rs. 138 dla studentów uniwersytetu warszawskiego i dwa stypendya po rs. 104 dla uczniów średnich zakładów naukowych w Warszawie. Prawo do pobierania rzeczonych stypendyów mają potomkowie linii męskiej braci zapisodawcy Andrzeja i Wojciecha Surowieckich, następnie potomkowie linii żeńskiej i innych bliższych krewnych testatora, nakoniec potomkowie Bartłomieja Kossakowskiego.

Józefa *Chróścicego*, stypendyów dwa po rs. 95, dla uczniów gimnazjum w Siedlcach, krewnych zapisodawcy. Chróścicecy herbu Leliwa mają pierwszeństwo.

Karola *Kobylińskiego*, stypendyum w ilości rs. 212, dla uczniów z rodziny Kobylińskich z przydomk. Xiążtko, a następnie z rodziny Kobylińskich, z przydomkiem Czyż.

Michała *Murzynowskiego*, dwa stypendya po rs. 222, dla uczniów gimnazjum męskiego w Lublinie, krewnych i powinowatych zapisodawcy.

Grzegorza *Cieślińskiego*, stypendyum w ilości rs. 225, dla najbliższych krewnych testatora, Cieślińskich, szlachty, wyznania rzymsko-katolickiego, z pierwszeństwem dla potomków brata testatora Ludwika Cieślińskiego; w braku tych dla dalszych krewnych, a w braku jednych i drugich—dla synów niezamożnej szlachty, z pierwszeństwem dla urodzonych w parafii Gozdowo, w pow. sierpeckim, gub. plockiej.

Jana *Rudnickiego*, dwa stypendya po rs. 150, dla ubogich uczniów krewnych zapisodawcy, Rudnickich, następnie dla tegożsamego nazwiska Rudnickich i dla synów i wnuków Konstantego Dworzyńskiego i żony jego Maryanny z domu Glinek vel Klinek, na przedstawienie opiekuna zapisu, P. Jana Ignacego Rudnickiego, zamieszkałego we wsi Dzierażni, p. stacją Zamost w gub. lubelskiej.

Amelii *Ciołkowskiej*, cztery stypendya po rs. 150 dla potomków niżej wyrażonych rodzin: Natalii Marchockiej, Jana Żabickiego, Jana Nieprzeckiego, Ignacego i Julii Rojewskich, Emilii Niewiarowskiej, Felixa Bielawskiego, Kajetana Marcinkowskiego, Franciszka Marcinkowskiego, Ignacego Nowosielskiego i Henryka Ciołkowskiego. W braku kandydatów z powyższych rodzin, dla synów niezamożnych obywateli powiatu siedleckiego, odznaczających się moralnością i pilnością w naukach.

Jakóba *Strzeszewskiego*, styp. w ilości rs. 200, dla ucznia gimnazjum w Plocku, religii rzymsko-katolickiej, najbliższego krewnego zapisodawcy, Strzeszewskiego, w braku takiego dla ucznia nazwiskiem Strzeszewskiego, stanu szlacheckiego, i nakoniec dla krewnego zapisodawcy z linii żeńskiej.

Z funduszu rs. 15,000, zostającego w zawiadywaniu *Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności*, styp. w ilości rs. 180, dla ubogich i wzorowych uczniów wyższych i średnich szkół m. Warszawy, urodzonych w Królestwie Polskiem, na przedstawienie *Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczy* dołącza się Arkusz 9-ty powieści pod tytułem *Godność kobiety*, przez H. Heineberg.

TREŚĆ: Trzynastu, poezya, przez L. Kozłowskiego. — Pogawędka. — Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Ruch muzyczny, przez Jul. Stattlera. — List z Anglii, — Obrazki z wojny francuzko-niemieckiej, II, (dokończenie), przekład M. Kostrowickiej. Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: *Godność kobiety*, przez H. Heineberg. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozyca stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 11 Ноября 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg



Nr 1. Ubranie z kwiatów do sukien balowych

Przeгляд mód.

Modele kapeluszy p. Bosz.
— Fabryka piór p. Gliwie.
— Wyciskane aksamity.

Pani Bosz, której magazyn odznacza się zawsze gustownymi kapeluszami świeżych fasonów, przywiozła przesłiczne modele paryżkie.

Fasony kapotek są już mniej śpiczaste, chociaż ubraniem podwyższają się znacznie. Główniki nie są już tak mocno wycięte, jak w roku zeszłym, co im nadaje poważniejszy wygląd, tak, że włosy powinny być w połowie przykryte. Brydły u kapotek są znowu długie i szerokie, a że bez brydłów noszony kapelusz, nigdy nie jest dystygowany, o tem wie pewno każda elegantka. Paryżanki nie noszą w zimie i jesienią innych kapeluszy, jak kapotki, uważając je za daleko lepiej ubierające twarz. Choć i Warszawianki wiedzą

o tem, a jednak u nas utrzymuje się moda i gust angielski, do okrągłych kapeluszy, które przynajmniej w fasonach amazoнок i zbliżonych mają te zaletę ważną w zimie, że zachodząc na czoło, osłaniają całe ciemie od mrozu. Paryżanki pozwalają sobie nosić okrągłe tylko wiosną i latem i to więcej na spacer, lub za miasto, gdy wyjeżdżają na letni pobyt na wieś. Pamiętam lat temu 30, gdy pierwsze dwie damy wracając z Ostendy, pokazały się w Paryżu, w okrągłych kapeluszach na ulicy, gameni paryżcy biegali za nimi, pokazując palcami, dodając muszę, że byłam jedną z dwóch nowatorek.

Trudno jest opisywać te wszystkie pięścidelka mody, sprowadzone przez panią Bosz, ale powiemy tylko, że składają się na nie mieniące aksamity w kolorach: rezeda z „fraise“, granat z pasowym, bordeaux z popielatym, dalej najoryginalniejsze piórka, pióra, skrzydła, ptaki, koronki złożone, a przede wszystkim ozdoby metalowe, torsady, spięcia i różności ze stali, srebra, złota i czerwonej świecącej miedzi, co wszystko gust paryżki umiał uczynić przystrojem powabnie zdobiącym. A co za mnóstwo tych przyborów jest tam na składzie, na przykład między innymi pokazywano nam motylki złote, srebrne, „électrique“ i wiele innych, lekkie jak motyle, którymi można obrzucić koafurę młodej osóbkki, a będzie śliczną tworzyło całość, przy wesółym uśmiechu ładnej twarzy. Zwracamy tu uwagę, iż nie może być mniej stosownego, jak motyl dla starszej, więc z konieczności poważniejszej osoby i w ogóle takie i tym podobne ozdoby, dla młodych powinny być zostawione. Fantazyjnych kapeluszy nie brak też w magazynie pani Bosz: tak zwane „à la Boulanger“, są dobrze spuszczone na ucho z jednej strony, a z drugiej gwałtownie podpięte piórami strusimi lub ptakiem. Oryginalne to bardzo i więcej do powozu i na spacer, niż na zwykłe użycie. Ładny w swoim rodzaju był jeden szaro-popielaty; głównie jednak

filcowe, sezonowe, jak to pisaliśmy przy kapeluszach pana Weigta, są formy przypominające dawne amazoнокki z wyższą główką i wyższymi bokami, jak dawne, ale pomimo to główki są o wiele niższe, niżeli zeszłoroczne, a o śpiczastych nie ma już mowy: ubranie tylko podwyższa dziś każdy fason. Najlepiej nam jednak przypała do smaku fason okrągły z plisowanego aksamitu, z przodu wysoko ułożonego, w tyle ścięty do rondka zupełnie, czyli do brzegu, bo rondka tam nie ma, a dwa szerokie skrzydła zasłaniają oba boki kapelusza — z przodu metalowa ozdoba. Wszystkie te modele magazyn reprodukuje po znacznie niższych cenach.

Kto umie sam sobie zrobić kapelusz — ale tych nie wiele — może wybrać so-



Nr 2 Ubranie z kwiatów do sukien balowych.

bie wszelkiego rodzaju metalowe ozdoby u pana Stifshona, który mając ciągle stosunki z Paryżem, gdzie się sam w sztuce pasmanteryjnej kształcił, sprowadza wszystko z pierwszej ręki i zawsze stoi w nowościach swych na równi z najpierwszymi magazynami.

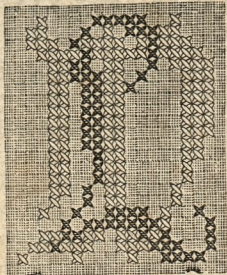
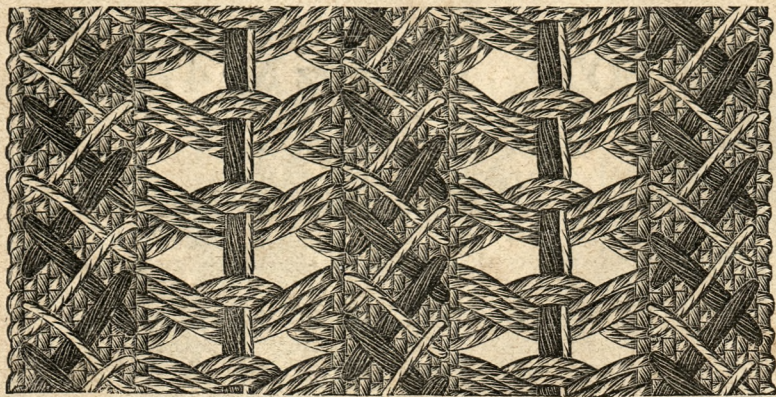
Co do piór zaś, fabryka pani Gliwie, przyniosłszy się z Senatorskiej na Tłomackie do domu Bernsteina, wyrabia tu u siebie, jak dawniej, z surowych materyali, wszelkie nowości, w zakresie fabryki wchodzące, a farbuję wszelkie pióra na żądanie, choćby na najtrudniejsze kolory. Jest to wielką zasługą tej fabryki, która od kilku lat wstrzymuje, że tak powiem, napływ tego zagranicznego towaru, który we Francji obraca milionami i zajmuje krocie ludności robotczej. Do okrągłych kapeluszy zawsze długie strusie pióra



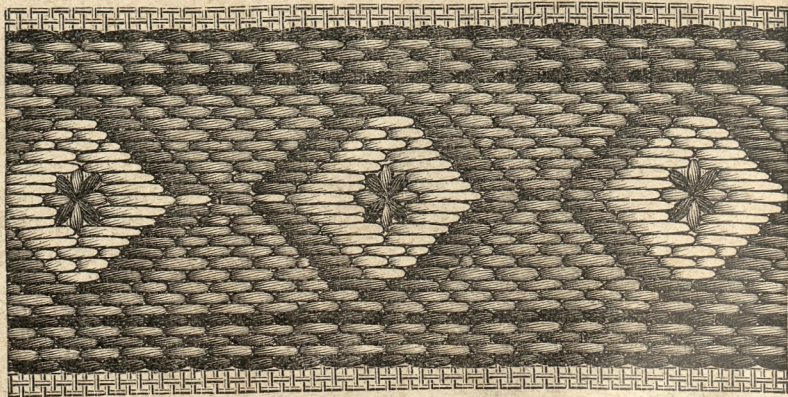
Nr 3. Suknia wizytowa z atlasu i mory. Przód. (Do ryc. 8 w Bl. Nr 48) Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 23 — 36.



Nr 4. Suknia wizytowa z jedwabnego repsu i pluszu. Przód. (Do ryc. 11 w Bl. Nr 48).



Nr 5 Znak haftowany



Nr 9. Szlak do koszyczka na klucze, noże i t. p.

Nr 6. Mereszka do serwety na stół. (Do ryc. 7).

najmodniejsze. Jako zaś przybranie kapotek, pokazywano nam mnóstwo prześlicznych paryzkich modeli, na przykład ptaszek brązowy z oryginalną egretką, drugi znów poezją tchnący — większy, koloru szarawo-zielonego cieniu, siedzi w gniazdku z brązowych piórek. Inny jeszcze pasowy siedzący na skrzydle jasnym, dalej dużo małych ptaszków, siedzących na niebiesko-stalowych pałeczkach; jeszcze inny żółty mieszany, z kwiatami z piórek. A już to kwiaty całe z piór, są śliczne — na przykład: bukiet prymulek z liśmi, lub całe tulipany. Ubranie głowy całe z marabutów, przetykane kwiatkami szarego ostu. Już to modele czarnych fantazyi z piór, nie pozostawiają nic do życzenia, na przykład: papuga czarna cieniowana do białego, ze skrzydłami z dżetu, siedzi na piórkach, koroną tych rzeczy był ptaszek ze skrzydełkami z piór całych dżet panych, w górze idą płaskie pióra, także niby nabijane perelkami, ta fantazyja równie dobrze do kapelusza, kapotki — jak na ubranie głowy służyć mogła.



Nr 7. Serweta na stół z haftem i mereszka. (Do ryc. i 68)

Ubranie z kwiatów do balowych sukien.

Rycina Nr 1 i 2.

Bukiet ryc. 1 ułożony z wszelkich żółto-różowych gwoździków z pączkami i listkami z gałązek winnych i trawek, oraz przyozdobiony chrabąszczem, służy do przybrania stánika.

Bukiet ryc. 2 ułożony z kwitnących powoi różowych, pączków, oraz rozmaitych trawek i listków, przewiązany jasno-różową wstążką i przyozdobiony świecącym owadem; służy do ubrania głowy.



Nr 10. Znak haftowany.

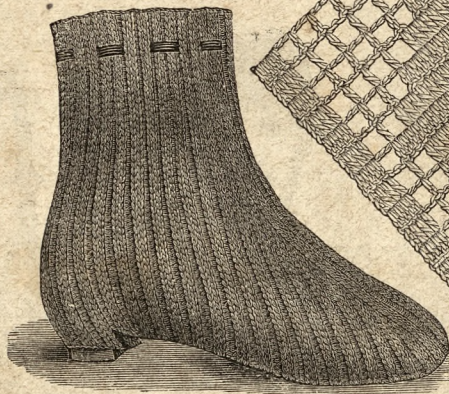


Nr 11. Znak haftowany.

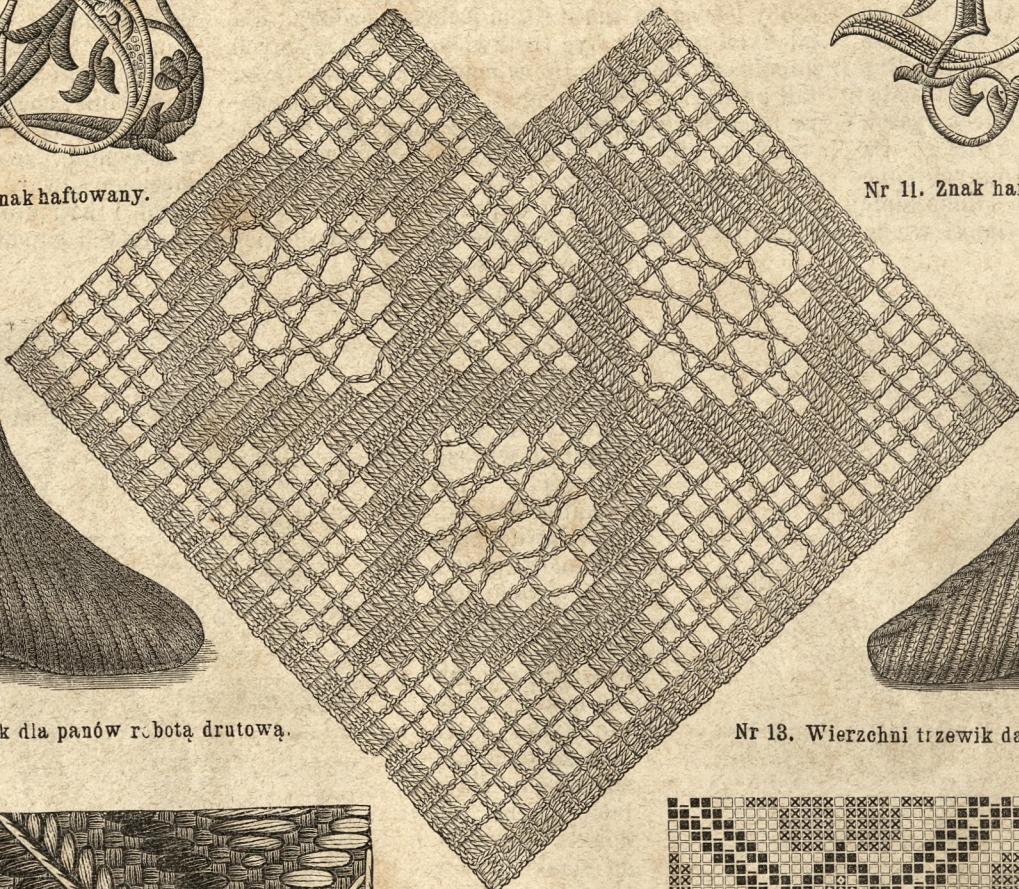
Suknia wizytowa z jedwabnego repsu i pluszu.

Rycina Nr 4.

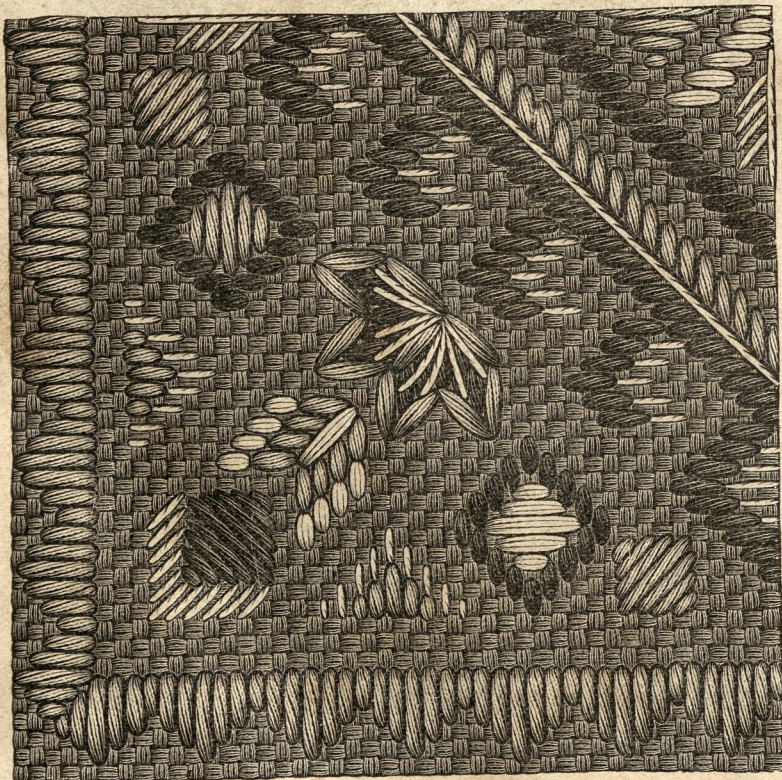
Spódnica brązowa jedwabna, 216 cent. obwodu w dole mająca, otoczona falbanką z tegoż samego materiału i nałożona pluszem brązowym w desień, z przodu 55 cent. szeroko, a 52 wysoko, z tyłu zaś 165 c. szeroko, a 61 wysoko. Części



Nr 12. Wierzchni trzewik dla panów robotą drutową.



Nr 13. Wierzchni trzewik damski szydełkową i drutową rob.



Nr 8. Czwarta część serwety ryc. 7.

Nr 14 Wstawka szydełkową robotą. (Do ryc. 16 i 17).

Nowo otworzona farbiarnia chemiczna pana Królikowskiego, przy ulicy Leszno Nr 13, wprowadziła nowość wyciska bowiem na zupełnie zniszczonym akşamie desenie, które dają mu pozór nowości bardzo dobry — szczególnie gdy akşamit jest jedwabny — zdaje mi się jednak, że i znana fabryka Geberów (Juddlin) to samo wyrabia.



■ ciemno-zielony, □ jasno-zielony, * pasowy, † jasno-niebieski, □ żółty. Nr 15. Deseń na poduszki, serwety i t. p. krzyżową robotą.



Nr 16. Koronka szydełkową robotą.

te podszyć muslinem. Tiunika do 25 części zmniejszona fig. I do IV; ukroić z brązowego jedwabnego repsu, podług fig. I i III po dwie części, podług fig. IV tylną część, oraz fig. II z pluszu na klapki znajdujące się z boków, których wielkość części przedstawia liczby znajdujące się w konturach liczby na zewnątrz konturów w kierunku od *a* do *b* oznaczają znaki i linie, znajdujące się zaś wewnątrz konturów służą do spajania części. Przedewszystkiem ułożyć w fałdy fig. I w górnym brzegu, mocując każdy † na kropkę. Wyłożyć materię wzdłuż pierwszej kropkowanej linii, oraz wzdłuż innych linii w głębokie składy i przymocować takowe w dolnej części w każdy † na kropkę. Podszyć kłapy fig. II muslinem wzdłuż górnego brzegu na 20 centim., fig. III ułożyć w szerokie fałdy od tylnego brzegu od * na 5 cent. Następnie przymocować fałdy składając każdy † na kropkę, ułożyć kłapy od liczby 1 do 2 na pierwszej części upięcia, a od liczby 3 do 4 na drugiej. Przyszyć te części wzdłuż górnego brzegu i przy fałdach na spodnicy w ten sposób, ażeby pierwsza część upięcia wzdłuż górnego brzegu, aż do pierwszej fałdy zeszyły się, a kłapy połączyć pod ubraniem z pluszu. Następnie fig. IV brzeg tylnej części spoić od liczby 6 do 6, trafiając w liczbę 7 i zeszyć od liczby 5 do 6. Oprócz tego umocować w górnym brzegu od liczby 8 do 5 w liczbę 5, od liczby 9 do 10 w liczbę 10, od liczby 11 do 10 w liczbę 10, od liczby 12 do 13 w liczbę 13, co utworzy cztery iufiaste fałdy. Wzdłuż szwu od liczby 5 do 6, oraz wzdłuż prostej linii, ułożyć materię w głębokie fałdy i zapomocą haftek przymocować do pleców podług ryciny. Przymocować od liczby 14 do 15 do drugiej części upięcia. Stanik układany

w fałdy przybrać pluszem i takiemiż połami, oraz ubrać pluszem rękawy.

Serwetka na stół z haftem i meraszka.

Rycina Nr 5 — 7.

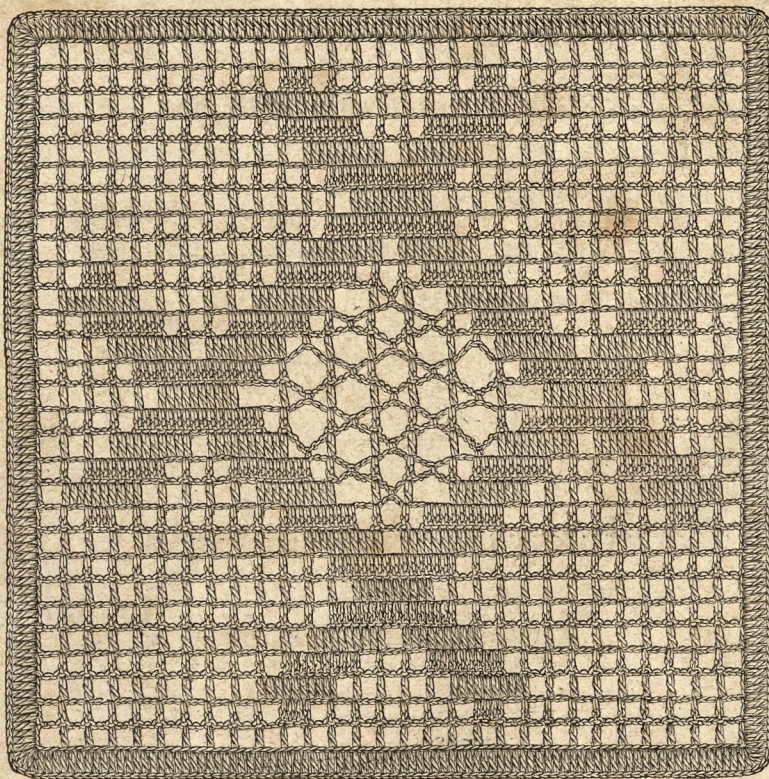
Serweta złożona jest z tła z pawiowej bai, haftowanych kwadratów i szlaków z meraszki, otoczona szlakiem z pawiowej bai, w śpiczaste zęby. Kwadraty, których czwartą część przedstawia rycina 7 haftują



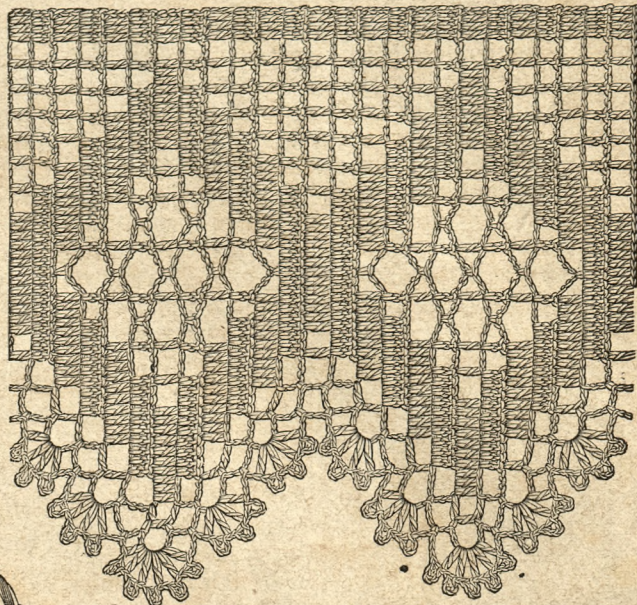
Nr 19 do 21. Szpilki do włosów lub kapeluszy

Nr 25. Mufeczka z pluszu.

Nr 22 do 24. Szpilki do włosów lub kapeluszy.



Nr 18. Kwadrat robotą szydełkową. (Do ryc. 14 i 17).



Nr 17. Koronka szydełkową robotą. (Do ryc. 18 i 14).

się na kanwie „Jawa“ hamburską włóczką oliwkowego, niebieskiego i ciemno-pasowego koloru, filozelą koloru modnego i palonej cegły, oraz modym i cienkim sznureczkiem złotym, podług przedstawionego wzoru. Kwadraty te łączą się zapomocą meraszki wykonanej na pasach na 9 cent. szerokich z popielatej juty przetykanej złotem naprzemian: gęsta tkanina i luźne nitki. Luźne nitki przeciągnięte są, podług ryciny, ciemno-pasową hamburską włóczką, oraz złotą nitką, gęsta zaś tkanina ozdobiona krzyżykami z włóczki i złotej nitki. Połączyć kwadraty z tłem zapomocą takiejże samej meraszki i wykonać w rogach na bai ozdoby, podług ryciny, długim ścięciem, różnokolorowymi włóczkami i złotą nitką. Wszystkie pojedyncze części otoczyć mocnym metalowym sznurkiem.

Szlak na koszyczek do kluczy, noży i t. p.

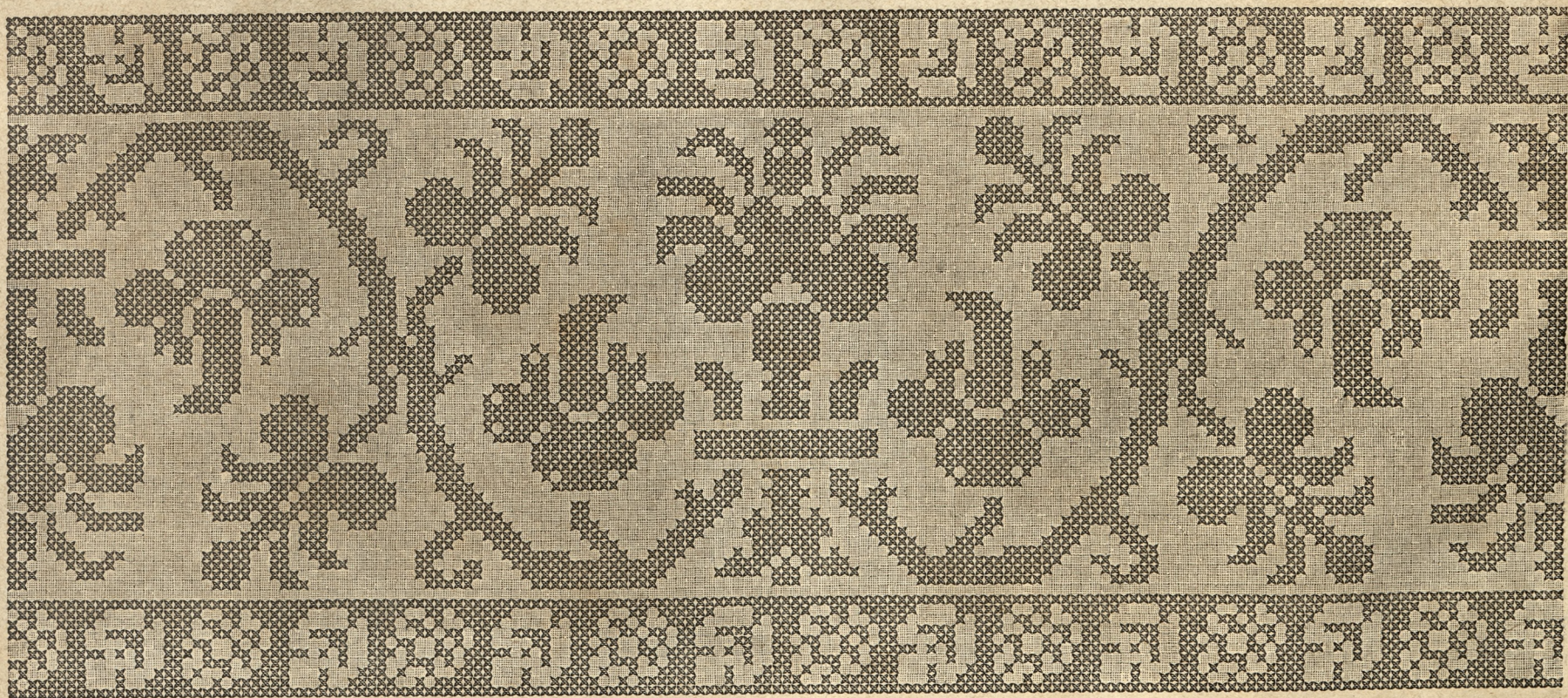
Rycina Nr 8.

Szlak wykonany na niepodzielnej kanwie koloru surowego płótna, rozmaitego koloru filozelą i włóczką, ścięciem długim, tak zwanym węgierskim, posuwając za każdym rzędem ściąg o jedną nitkę, co utworzy ścięgi rozmaitej długości.

Trzewik wierzchni męzki robotą drutową.

Rycina Nr 12.

Trzewik ten służy do rozgrzewania nóg, tak w pokoju jak w podróży, zrobio-



Nr 26. Szlak na serwetki, portierę i t. p. krzyżową robotą.

ny na drutach włóczką stosownej grubości żeberkowym ścięciem. Złożony jest z dwóch części, z których pierwszą rozpocząć na założeniu 60 ocz. powtarzając 96 kolei tam i napowrót, ciągle naprzemian: 2 ocz. na prawo, a 2 na lewo. Jednakże w 12 kolei wykonać w równej odległości dziurki, dla przeciągnięcia elastyki, zakręcając ciągle nitkę i przerabiając 2 ocz. na prawo razem. Następnie dla uwydatnienia formy w 24 kolei, 2 razy po każdych 10 środkowych kolejach, 4 razy po każdych 5 kolejach i 3 razy po każdych 3 środkowych, przy zakończeniu każdej kolei 1 ocz. przybrać, z każdych 4 ocz. przerobionych, poczem po dwóch przerobionych ocz. robotę odwrócić i na odwrotnej stronie żyłki, tak przed nią, jak i w środku ze znajdujących się żyłek, z 2 odjętych ocz., 1 oczko njąć. Robotę znowu odwrócić i od tych 4 ocz. pierwsze 2 na lewo, następujące 2 na prawo przerobić. Następujące koleje robią się jak deseń tego wy-



Nr 27. Kapelusz z morskich alków.

magą. Po zakończeniu 96 kolei, pierwsze 34 oczek największej wypukłości w połowie odczepić następującym sposobem: przerobić najbliższe oczko, wyciągnąć nitkę, przeciągnąć kłębek i resztę oczek zwyczajnym sposobem odczepić. Drugą połowę wykonać tym samym sposobem w dowolnym kierunku. Połączyć obie części wzdłuż linii poprzecznej, oraz zwyczajnym sposobem odczepione oczka, okrętką od spodu. Rozporek służy do wysunięcia obcasa.

Mufeczka z pluszu.

Rycina Nr 25.

Urządzić podkład watowany z perkalu na 20 cent. szeroki, a 44 centim. wysoki i pokryć jako

podszewką jasno-pawową materyą. Wysokość złożyć na połowę, ściąć ukośno boki od zgięcia do końca do 8 cent. i połączyć z sobą poprzeczne linie. Boki obszyć jasno-pawową materyą i wszyć elastykę 30 cent. długą. Pokryć kwadratem 50 cent. wielkim z pluszu czarnego, którego rogi obszyć pawiowym pluszem mniej więcej na 17 cent. zwięzając ku bokom stopniowo. Dwa przeciwległe rogi ułożyć zręcznie na wierzchu mufeczki, a dwa pozostałe wywinąć na zewnątrz podług ryciny.

Kapelusz z alków.

Rycina Nr 7.

Forma petynetowa obciągnięta gładko wydrą. Ubranie stanowią wysokie pukle z wstążki z pikotami, 6 cent. szerokiej w ciemniejszym i jaśniejszym brązowym kolorze. Dwie długie szpilki szyldkretowe, wpięte w węzeł i wstążki do wiązania, wykończają kapelusz podług ryciny.

Kapelusz z alków lub pluszu obłożony bobrami.

Rycina Nr 28.

Główka petynetowa obciągnięta gładko, okolona śpiczastym wyłożeniem pokrytym bobrami, z przodu 9, a po bokach 4 i pół centim. szeroko. Egretka z jasno i ciemno-brązowych piór, skrzydełka żółte i brązowe, oraz głowa ptaka, zdobią jedną stronę kapelusza, z drugiej zaś kokarda z repsowej brązowej wstążki z atlasowym spodem i także szarfę do wiązania.

Stanik z trykotowego materyalu.

Rycina Nr 29.

Stanik z ciemnego trykotowego materyalu koloru modnego, z przodu marszczony, z tyłu zaś układany w fałdy, ozdobiony karczkiem haftowanym brązowymi perełkami i takimiż kołnierzem stojącym. Od boku w pasie przyszyte są wstążki atlasowe tegoż samego koloru, które z przodu tworzą rodzaj szarfy. Do zapięcia służą guziki i dziurki.

Przepisy gospodarskie.

Kompot z jabłek w galarecie.

Dziesięć jabłek sztetyn lub renet obrać — przekroić na połowę, wybrać pestki i włożyć w wodę z octem lub kwasem cytrynowym. Łupiny z jabłek i 4 mniejsze jabłka pokrajać, dodać skórki cytrynowej i gotować w kwarcie wody, gdy się rozgotują wylać na sito, nie wyciskając podstawić salaterkę, a do tego co ścieknie samo, włożyć funt cukru drobno rąbanego, postawić w rondlu na ogniu — gdy się cukier rozpuści, wrzucić obrane jabłka, dodając 15 oparzonych i obranych węgiełek, ugotować, pilnując rozgotowania, wyjąć owoce, poukładać w formę lub salaterkę porcelanową, a syrop

jabłkowy gotować jeszcze z pół godziny, lub mniej — próbując, gdy zaczerpnięty łyżką spada w dużych kroplach, a nie ścieka cienko, to ma dosyć. Przed włożeniem jabłek w syrop, wrzucić kawałek wanilii lub cynamonu, skórkę zaś cytrynową gotowaną uszadkować i wrzucić w syrop, żeby się razem smarzyła. Gdy wygotowany syrop wystygnie, zalać nim owoce poruszając łyżką, aby owoce nie leżały na spodzie, ale żeby się połączyły z sosem, który w parę godzin powinien zamienić się w galaretę.

Doświadczenia gospodarskie.

Kwiaty jesiennie choćby zwijane na drukach, wytrzymują dziesięć dni postawione w wazonie na jednym miejscu i wcale nie poruszane nie potrzeba je skrapiać.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Barszcz czysty z uszkami.
2. Potrawka z mostków baranich z ryżem.
5. Kalafiory.
3. Polędwica z sałatą z czerwonej kapusty.
4. Szarlotka z jabłek.

Opis ryciny 12 do 15 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do zeszłego numeru.



Nr 28. Kapelusz z morskich alków objęty bobrami.



Nr 29. Stanik trykotowy.



Nr 30. Bluzka z trykotu dla młodej osoby. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig 13—22.